

Robert Borkowski\*

## Zagłada Żydów z Głogowa Małopolskiego we wspomnieniach Teresy Mastalskiej-Chwiejczak

Teresa Zofia Mastalska-Chwiejczak urodziła się 22 stycznia 1926 r. w Nisku. Jej rodzicami byli Stanisław i Helena z domu Jaworska. Stanisław Mastalski był legionistą, przedwojennym oficerem Wojska Polskiego, dosłużył się stopnia majora. W okresie II Rzeczypospolitej ze względu na częste przenoszenie służbowe ojca rodzina mieszkała w kilku miejscowościach. Były to kolejno: Nisko, Tarnobrzeg, Ostrów Wielkopolski, Krotoszyn i Łuniniec na Polesiu. W Łunińcu ją, matkę i urodzonego w 1936 r. jej brata, Leszka Wojciecha, zastała II wojna światowa.

Jako dziewczynka Teresa spędzała czasami wiele miesięcy u dziadków, Stanisława i Agnieszki Jaworskich. Stanisław Jaworski pracował jako sędzia w Rzeszowie. Teresie lepiej służył tutejszy klimat, a w osobach babci i dziadka znajdowała czułych opiekunów. Jej wspomnienia dzieciństwa wypełnione są obrazkami z przedwojennego Rzeszowa. Stanisław Jaworski po przejściu na emeryturę w 1934 r. prowadził notariat w nieodległym Głogowie Małopolskim.

Major Stanisław Mastalski walczył w 84. pułku strzelców poleskich, którego w końcowym etapie walk został dowódcą, trafił do niemieckiej niewoli. Większość wojny spędził w obozie w Woldenbergu. Helena Mastalska znajdowała się

---

\* Dr Robert Borkowski, historyk, regionalista.

wówczas z dziećmi w Łunińcu. Wyrzucona z domu, zagrożona wywiezieniem w głąb ZSRR, może nawet śmiercią, postanowiła pojechać do rodziców, którzy przenieśli się do Głogowa Małopolskiego i wynajmowali w miasteczku mieszkanie. Wraz z dziećmi spędziła tam cały okres okupacji niemieckiej. Kilkunastoletnia Teresa pracowała pomagając dziadkowi prowadzić kancelarię notarialną. Jej matka zajmowała się pracami chałupniczymi, m.in. dziewiarstwem.

Z Głogowa Małopolskiego rodzina razem z ojcem, który po wyzwoleniu obozu w lutym 1945 r. przyjechał do miasteczka, wyjechała w ostatnich dniach września 1945 r. W Katowicach Teresa skończyła liceum, zdała maturę i przez rok studiowała w Wyższym Studium Nauk Społecznych. Rodzina Mastalskich 7 lipca 1947 r. przeprowadziła się do Wrocławia, w którym pani Teresa mieszkała do końca życia. We Wrocławiu ukończyła studia prawnicze na Uniwersytecie Wrocławskim. Przez wiele lat pracowała m.in. jako radca prawny. W 1952 r. wyszła za mąż za mgr. inż. Stanisława Chwiejczaka, byłego więźnia obozu koncentracyjnego na Majdanku (nr obozowy 6004), z zawodu rolnika i ogrodnika (zm. w 1996 r.).

Teresa Mastalska-Chwiejczak w 1993 r. zaczęła spisywać wspomnienia związane z głogowskimi Żydami. Na 50-lecie wybuchu powstania w getcie warszawskim szykowano wydanie większej ilości publikacji pamiątkarsko-wspomnieniowych o życiu i zagładzie Żydów w latach okupacji niemieckiej. Wydano kilkanaście zbeletryzowanych opowieści przedstawiających głogowskich i rzeszowskich Żydów. Poznaliśmy w nich ludzi, którzy kiedyś także tworzyli charakter miasta zamieszkiwanego przez dwie społeczności, polską i żydowską. Z niektórymi bohaterami wspomnień pani Teresy zetknąłem się w źródłach archiwalnych. Tam figurują tylko jako imię i nazwisko – postaci papierowe, których nie można poznać bliżej, natomiast pani Teresa przedstawia ich jako ludzi z krwi i kości.



Il. 1. Teresa Mastalska-Chwiejczak. Zdjęcie wykonane 6 stycznia 2019 r. w jej domu we Wrocławiu

Wspomnienia Teresy Mastalskiej-Chwiejczak nie ukazały się jednak drukiem i na ćwierć wieku trafiły do szuflady.

Pierwszy raz spotkałem Teresę Mastalską-Chwiejczak 6 stycznia 2019 r. w jej wrocławskim domu. Przyjechałem z myślą, że spiszę relację świadka historii. Jakież było moje zdumienie, kiedy pani Teresa wyciągnęła papierową teczkę z gotowymi opowieściami. Już wstępne ich przejrzenie upewniło mnie, że mam do czynienia z czymś cennym, wręcz unikatowym. A dokładna lektura tekstów uświadomiła, że mam w rękach wyjątkowo ważny dokument źródłowy, jednocześnie literacko bardzo sprawnie ujętą narrację<sup>2</sup>. Poniżej – kilka odniesień do tej twórczości, kilka wyimków, zanim głos zabierze jej autorka.

Szczegółowo zostały opisane pierwsze dni w Łunińcu po zajęciu miasta przez Rosjan.

Wkroczenie Armii Czerwonej uderzyło nas obuchem i zaważyło cały dotychczasowy świat. Nie było ważne, że staliśmy się rodziną burżujskiego oficera, ale utrata wolności była czymś, czego się nie da opisać, dla mnie zwłaszcza, będącej w wieku, w którym reaguje się bardzo silnie na otaczającą rzeczywistość. (...) Zaraz po wkroczeniu armii radzieckiej wezwano Mamę do NKWD, zaprowadził ją jakiś enkawudzista i żydowski milicjant. (...) Na przesłuchaniu „zastrzelono” ją pytaniem, dlaczego i ona, i jej mąż są takimi żydożercami. (...) Mama zażądała sprecyzowania zarzutów. Okazało się, że do NKWD zgłosili się nieuczciwi kupcy – dostawcy, oskarżając Ojca o pozbawienie ich zarobków wskutek antysemityzmu.

---

<sup>2</sup> Opowieści z czasów wojny to nie jedyne teksty napisane przez panią Teresę. Jest ich znacznie więcej, dotyczą różnych historii z jej bogatego w doświadczenia życia.

Oskarżenie było zemstą. Rzeczą dotyczyła żydowskich handlarzy mięsem, z którymi mjr Mastalski po przybyciu do Łunińca zerwał umowy na dostawy dla wojska ze względu na ich oszustwa. Argumenty Heleny Mastalskiej spływały po enkawudzystach jak woda. Grożono jej aresztowaniem. W końcu pozwolono wrócić do domu, lecz kilka razy wzywano na przesłuchania.

Szokiem dla kilkunastoletniej dziewczyny były zmiany, które zaobserwowała.

Aresztowano znaczniejsze osoby, starostę, dyrektora gimnazjum, wspaniałego pedagoga, Władysława Lipskiego. Zamknięto ich w piwnicach. Przy współudziale milicji opieczętowano całe mienie starosty, plomby przyczepiono nawet na sukienkach i intymnych częściach garderoby pani Lipskiej i jej córki. Oczywiście kazano wywieszać czerwone flagi. Chodził w tej sprawie również milicjant – Żyd, a towarzyszyła mu córka kupca imieniem Roza. Długo nie mogłam przypomnieć sobie jej nazwiska, aż pewnego dnia słuchając audycji o byłym ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego uprzytomniłam sobie, że nazywała się Fejgin<sup>3</sup>. Ta dziewczyna podobno już przed wojną znana z antypolskiego nastawienia była wprost chora z nienawiści. Nie zapomnę, jak się natrząsała w mieszkaniu znajomej, u której czasowo schroniliśmy się w mieście, z jaką nieukrywaną satysfakcją patrzyła na nasze pobladłe twarze. Ręka swędziała. Ona to właśnie, zwerbowałszy sobie podobnych, wyróciła pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego stojący na placu przed dworcem i wkopała popiersie głową w ziemię.

---

<sup>3</sup> Anatol Fejgin (1909-2002) funkcjonariusz aparatu bezpieczeństwa PRL pochodzenia żydowskiego, od 1949 r. pracował w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, ze służby zwolniono go po ucieczce na Zachód w 1953 r. Józefa Światły, który rozgłosił na cały świat, jakimi to brutalnymi metodami posługują się pracownicy MBP.

Widziałam dziewczęta żydowskie całujące wyzwolicieli, widziałam je tańczące dziki taniec radości i wykrzykujące, że tej przeklętej Polski już wreszcie nie ma. Widziałam tłum prowadzony przez te dziewczęta, bijące i popychające młodego, przystojnego mężczyznę w podartej koszuli. Jego przystojna, inteligentna twarz była zalana krwią. Nie wiem, kto to był. Tłum był bierny, raczej obserwował. Poleszycy nie uzewnętrzniali swych myśli, byli ostrożni. Dziewczęta przypominały menady<sup>4</sup>.

Helena Mastalska z dziećmi na początku września 1939 r. musiała zmienić miejsce zamieszkania, bo dom – tuż przy stacji kolejowej – stał się celem lotnictwa niemieckiego. W nowym lokum rodzina nie zagrzała miejsca.

Wyrzucono nas z domu. Odbyło się to według najlepszych wzorów stosowanych przez najlepszych przyjaciół z obu stron linii demarkacyjnej. Nie pozwolono zabrać nic, tylko najkonieczniejsze rzeczy, patrzono na ręce, jakiś stół, legowisko, parę garnków, trochę odzieży. Poprzedniego dnia sąsiedzi zwrócili nam ze strachu parę rzeczy, które daliśmy im na przechowanie. Nie obyło się bez upokorzeń.

Wspomnienia tego wysiedlenia wrócą, gdy Teresa będzie świadkiem likwidacji getta w Głogowie, gdy Niemcy będą kazać wywożonym Żydom brać tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

Z dzieł sztuki – własności rodziny Mastalskich, w tym kolekcji obrazów, działacze nowej władzy zrobili muzeum, które w ich intencji miało teraz służyć sowieckiej kulturze. „Za jedno tylko mogę być tym działaczom wdzięczna

---

<sup>4</sup> Menady – w mitologii greckiej czcicielki Dionizosa, dziko tańcząc i śpiewając prowadziły tłum na bachanalia.

– napisała pani Teresa – raz na zawsze wyleczyli mnie z jakichkolwiek złudzeń, co do rzeczywistego oblicza najwspólniejszego z ustrojów”. Wyrzucona na bruk rodzina znalazła schronienie u emerytowanego żołnierza, plutonowego, który mieszkał w maleńkim domku.

Z Lunińca wyjechaliśmy w pełnej konspiracji 8 listopada 1939 r. Ostrzeżono nas, że NKWD i milicja szukają nas, bo nie znali nowego adresu. Jesteśmy bardzo zagrożeni. Całe szczęście, że będąc chora nie chodziłam do szkoły. Dojechaliśmy do Lwowa zatrzymując się u krewnych. Mama miała nadzieję, że spotka kogoś z Rzeszowa, może kogoś ze znajomych kupców żydowskich, którzy jak nam mówiono uciekali w stronę Lwowa. (...) Na miejscu dowiedziałam się, że ludność żydowska w znacznej części zachowuje się nieprzyjaźnie wobec Polaków, zwłaszcza ci, którzy znaleźli się we Lwowie jako zdeklarowani komuniści, że macki NKWD sięgają daleko. Baliśmy się, że nas rozpoznają. Stryj Mamy, Władysław Jaworski, postanowił szukać pomocy u swego kolegi, profesora VI Gimnazjum na Łyczakowie, Antoniego Eksteina. Znał on Mamę. Uczył ją w gimnazjum w Nisku. Udali się do jakiegoś komisariatu. Tam na podstawie zeznań profesora i oświadczenia Mamy o zaginięciu dokumentów, wypisano przepustkę na stronę niemiecką dla Mamy i nas dwojga. Po różnych przygodach dotarliśmy do Dziadziów.

Teresa Mastalska znalazła się w Głogowie Małopolskim. Przykre doświadczenia z Żydami, którzy entuzjastycznie poparli władzę sowiecką, nie wpłynęły na jej sposób oceniania innych Żydów, mieszkańców podrzeszowskiego miasteczka. We wspomnieniach starała się być obiektywną i przedstawiła poszczególne osoby takimi, jakimi je zapamiętała. W jej narracji pojawiają się i postaci pozytywne, i negatywne – ludzie, ze swymi zaletami i wadami. Jak pani Altmanowa

z opowiadania *Nam nikt nie może udzielić pomocy* i jak jej siostrzeniec, Mojsze Birnfeld, w opowiadaniu *Druga Hanka*. Altmanowa, żona rzeźnika, zajmowała się handlem mięsem. To jej słowa są tytułem opowiadania. Babcia Teresy, z którą się zżyła, litowała się nad losem Żydów. Wtedy jeszcze o zagładzie nie było wiadomo, litość wynikała z odruchu serca, z widoku gnębienia ich przez Niemców, z poczucia beznadziejnego położenia. Syn siostry Altmanowej, Mojsze Birnfeld, piekarz, losem Żydów się przejmował, za to ogromną radość sprawiała mu myśl, że los Polaków też będzie przypięczętowany, gdy po porażce III Rzeszy nadejdzie Armia Czerwona. Jego brat, Kalman (Kałme), przedwojenny działacz komunistyczny, po wybuchu wojny znalazł się w strefie okupacji rosyjskiej. Mojsze podzielał poglądy brata walczącego z ustrojem II Rzeczypospolitej i cieszył się widząc, w jak coraz trudniejszych warunkach bytowych musi egzystować rodzina oficera Wojska Polskiego.

Przejmujący jest los dwóch żydowskich inteligentów, adwokata i aptekarza. Joachim Kolber, bohater opowiadania *Strzał o zmroku*, w czasie okupacji stracił możliwość wykonywania zawodu, żył z oszczędności i dzięki ludzkiej pomocy. Egzystencja w wojennych warunkach głęboko wpłynęła na jego psychikę. Wracając zamyślony do domu nie uklonił się niemieckiemu żandarmowi – został zastrzelony. Henryka Brandlera (opowiadanie *Lejkych*) zmuszonego do udziału w obradach Judenratu, wraz z grupą członków rady wywieziono do lasu i zamordowano.

Na przykładzie żydowskiego policjanta (*Bajgle*) dostrzeżę się degenerację jednostki. Nie był to rodowity łódzianin, na początku wojny przyjechał z rodzicami z Łodzi. Wcześniej ojciec, zamożny kupiec, zapewniał rodzinie byt na wysokim poziomie. Syn, aby dowartościować się, został policjantem; jego nadgorliwość w wykonywaniu poleceń okupanta



zaciążyła na opinii o nim. Znęcał się nawet nad kobietami i dziećmi. Pobratymców lekcewał, bał się tylko Niemców.

Najważniejsze według mnie fragmenty owego osobistego świadectwa to te dotyczące likwidacji głogowskiego getta (czerwiec 1942) i opis mordów dokonywanych na Żydach przez Niemców w pobliskim lesie Borze (lipiec 1942) – opowiadania *Baniak* i *Nie lubię lasu*.

Wspomnienia Teresy Mastalskiej-Chwiejczak to większe lub mniejsze obrazki konkretnych wydarzeń. Na ich podstawie rysuje się pewna panorama egzystencji społeczności polskiej i żydowskiej w okupowanym Głogowie Małopolskim. Wraz z likwidacją getta i zagładą Żydów skończyła się pewna epoka w historii miasteczka. Pozostały po niej okruchy dzięki wspomnieniom Teresy Mastalskiej-Chwiejczak. Przed śmiercią (28 marca 2022 r.) ich kopię przekazała do zbiorów Miejsko Gminnej Biblioteki Publicznej im. Rudolfa Menerki w Głogowie Małopolskim. Część z nich zamieszczam poniżej. Przypisy redakcyjne pochodzą ode mnie.

\*\*\*

Teresa Mastalska-Chwiejczak

### **Nam nikt nie może udzielić pomocy**

W przeciwieństwie do swojej siostry, zawsze niedbale ubranej i uczesanej Birnfeldowej, pani Altmanowa, żona rzeźnika, była uosobieniem schludności i czystości. Na co dzień na czarnej długiej sukni nosiła wykrochmalony, szeroki i fałdzysty fartuch z płótna, w białe i niebieskie paseczki, ze skrzyżowanymi na plecach szerokimi szelkami. W uroczyste dni na białą bluzkę i czarną spódnicę zarzucała czarny, cienki szal. Włosy siwe, puszyste, rozdzielone na środku głowy, upinała

z tyłu w duży kok szylkretowymi spinkami. Twarz pociągłą, niemal przeźroczystą, ozdabiały duże zielonkawe oczy o długich rzęsach i ładnym łuku brwi. Usta drobne rzadko odsłaniały w uśmiechu białe, zdrowe zęby.

Przez dłuższy czas jej mąż sprzedawał mięso w swoim sklepie na rogu rynku i ulicy kpt. Mieczysława Głogowieckiego<sup>5</sup> (Rzeszowskiej), nawet, jeśli dobrze pamiętam, na kartki. Po pewnym czasie pani Altmanowa zaczęła przynosić wołowinę do domu, konspiracyjnie chowając ją za dużą kraciatą chustą, typową dla wiejskich kobiet i małomiasteczkowych Żydówek.

Lubiła się na chwilę w kuchni i porozmawiać z Babcią, zbliżoną do niej latami. Gdy tak obie rozmawiały, zdawały się być do siebie podobne. Obie przedstawiały piękny typ starszej pani. Pani Altmanowa opowiadała o ojcu, który był pachciarzem<sup>6</sup> we dworze w Przewrotnem, o swojej siostrze, z którą nie zgadzały się i której systemu wychowania nie pochwaliała. Sama trzymała dzieci w ryzach, wymagała pracy i porządku.

O ówczesnym właścicielu majątku w Przewrotnem, zastrzelonym w jesieni 1943 roku z wyroku Polski Podziemnej, nie chciała mówić, żałując bardzo jego żony i współczując rodzeństwu<sup>7</sup>.

---

<sup>5</sup> Mieczysław Głogowiecki (1889-1920) ur. w Głogowie Małopolskim jako Mieczysław Lejb, jego ojciec Franciszek Lejb, w 1910 r. wraz z rodziną zmienił nazwisko na Głogowiecki, podkreślając w ten sposób swoje związki z miastem. W czasie I wojny światowej walczył w II Brygadzie Legionów, po wojnie wstąpił do Wojska Polskiego, dosłużył się stopnia kapitana. Zginął w walkach z bolszewikami 18 sierpnia 1920 r. w obronie Płocka. Spoczywa na tamtejszym cmentarzu garnizonowym. W latach 1921-1945 jedna z głównych ulic Głogowa Małopolskiego – Rzeszowska, nosiła nazwę kpt. M. Głogowieckiego.

<sup>6</sup> Pachciarz – w dawnej polszczyźnie drobny dzierżawca.

<sup>7</sup> Mowa o Stanisławie Politalskim (1910-1943) właścicielu majątku ziemskiego w Przewrotnem, wsi leżącej na północ od Głogowa Małopolskie-

Opowiadała barwnie, używając bardzo poprawnego języka o bogatym słownictwie, w którym wyczuwało się sporą wiedzę i odczytanie. Pamiętam jej opowiadanie o zdarzeniu, które jesienią roku 1941 zbulwersowało całe miasteczko.

Tej jesieni przysłano do Głogowa karną kompanię Wehrmachtu. Byli w niej typowi kryminaliści, obwiesie urwani z powroza, którym Rzesza darowała karę, wcielając do wojska, byli jacyś *Deutschstammige*<sup>8</sup> nie chcący podpisać volkslisty z *Protektorat Böhmen und Mähren*<sup>9</sup>, którzy wyśpiewywali czeskie, wojskowe piosenki, znane jeszcze z czasów c. k., jak np. „Gdy pomaszerujem z Ihlavskiej bramy...”, i wreszcie czterech czy pięciu kleryków jakiegoś seminarium, którzy szpetnie się narazili wodzowi. Ci byli najbiedniejsi, bo ich doświadczeni w życiu za kratami kamraci obrali sobie za cel zabawy. Śpiewali im najsprośniejsze piosenki, opowiadali najbardziej ordynarne dowcipy, nie dawali ani chwili spokoju, uniemożliwiając skupienie i modlitwę.

Kompania trzymana była niby żelazną ręką przez kadrę, ale były to tylko pozory. Pierwsi znaleźli jakąś lukę kryminaliści, którzy zaczęli uganiać się za płcią odmienną, budząc strach. Uciekałyśmy przed nimi i nigdy nie zapomnę przerażenia Mamy i mojego, gdy wybrałyśmy się do sosnowego młodniaku na maślaki i zobaczyłyśmy ćwiczącą na pobliskiej łące kompanię. Dopiero gdy zorientowałyśmy się, że to tylko ćwiczenia, odetchnęłyśmy, ale przezornie wycofałyśmy się, bojąc się przerwy... Aż raz doszła do nas wiadomość o wyjątkowo

---

go. Politalski był podejrzewany o kolaborację z Niemcami – jak dotąd nie znaleziono na to dowodów. Został śmiertelnie ranny 17 listopada 1943 r. w zasadzce. Do akcji przyznawała się zarówno Armia Krajowa, jak i partyzantka komunistyczna z Gwardii Ludowej.

<sup>8</sup> Członkowie diaspory niemieckiej.

<sup>9</sup> Protektorat Czech i Moraw – jednostka administracyjna utworzona 16 marca 1939 przez niemiecką Rzeszę z okupowanych od 15 marca 1939 Czech, Moraw i Śląska Czeskiego.

okrutnym zbiorowym gwałcie, gdzieś w okolicach bożnicy. Właśnie o tym opowiedziała nam pani Altmanowa.

W zrujnowanej bożnicy, to znaczy w jednym z jej pomieszczeń pomocniczych, zamieszkała bardzo biedna wdowa z kilkorgiem dzieci. Nie była mieszkanką Głogowa, skądś przyszła i poprosiła współwyznawców, aby jej wolno było tam przez lato zamieszkać. Wprawiono okno i drzwi, zainstalowano piecyk, znalazły się jakieś skromne sprzęty. Z czego żyła, dobrze nie wiem i nawet nie wiedziałam o jej istnieniu, bo locum było w tyle budynku, niewidocznym od ulicy.

Kilku łotrów wyszło wieczorem z budynku, w którym kwaterowała kompania, tzn. ze szkoły, której piętro zajęli, i zaczęło penetrować miasteczko. Zobaczyli światółko w bożnicy, a potem kobietę, która po coś wyszła. Wciągnęli ją do głównej sali budynku i tam dokonali zbrodniczego czynu, przedtem ogłuszając, względnie kneblując. Uciekli pod osłoną nocy, ale płacz dzieci, które pozostały same, spowodował poszukiwania i odkrycie zgwałconej kobiety. Była ciężko okaleczona i na progu obłądu. Całe szczęście, że gwałt nie pozostawił innych widocznych skutków.

Dalszych szczegółów dobrze już nie pamiętam, wydaje mi się, że wezwano miejscowego lekarza i wreszcie bliżej zainteresowano się losem biedaków. Państwo Altmanowie zatrudniali oprócz rodziny dwóch czy trzech chłopców do pomocy przy uboju, rozdziale mięsa i innych pracach. Pomocnicy ci dostawali jakąś zapłatę i mogli dla siebie sprzedać coś z podrobów, m.in. ogony wołowe. Otóż ci chłopcy, sami bardzo biedni, samorzutnie postanowili, że każdego dnia jeden z nich zrzekać się będzie swojej zapłaty na rzecz tej kobiety. Pani Altmanowa, która już wcześniej sporo świadczyła na rzecz biedoty, opowiadając o tym, powiedziała:

– No i proszę, kto ma najlepsze serce, ci moi chłopcy!

Zdarzyło się mi być kiedyś u niej w domu we wczesnych godzinach rannych. Zanośiłam zapłatę, bo poprzedniego

dnia były kłopoty z wydaniem reszty i Babcia była winna parę złotych. Kiedy otworzyłam drzwi do kuchni, po zaproszeniu do wejścia bałam się przestąpić próg, tak do białości były wyszorowane deski w dużej kuchni, bardzo czystej i jasnej. Przy jednym z okien stał starszy mężczyzna, mający na czole filakterie i rękę owiązaną rzemieniami<sup>10</sup>. Modlił się półgłosem, bardzo wolno wymawiając słowa. Nawet nie drgnął na skrzyp drzwi. Stałam, nie chcąc mu przeszkadzać, pani Altman podeszła do mnie cichutko i odebrała pieniądze ode mnie. Nie widziałam w życiu wielu ludzi tak pięknie i żarliwie modlących się.

O dorosłych dzieciach tej rodziny mogę powiedzieć, że były dobrze wychowane i odznaczały się spokojem i cichym sposobem bycia. Zauważyłam, będąc wówczas u nich, że w domu panował ład i wzajemne uczucie. Ile było tych dzieci, dziś też nie wiem. Jak przez mgłę pamiętam dwóch synów i dwie bardzo ładne córki.

Naciskany przez Niemców Judenrat ograniczał coraz bardziej handel<sup>11</sup>. Pamiętam, że z trudem udało się mojej Mamie kupić trochę krwi, płuc i wątroby, z czego zrobiła pseudokiszki. Jeszcze pasztetowa była niezła, ale wiórowata, pozbawiona tłuszczu kaszanka ani się umywała do przedwojennej.

Policjanci żydowscy gonili osoby, o których wiadomo było, że przychodzą do chrześcijańskich domów z wiktuałami i pani Altmanowa była pierwsza na celowniku.

– To zaczyna być niebezpieczne dla niej – powiedział Dzia-dzio, mając na myśli panią Altmanową. – Niech się nie naraża.

<sup>10</sup>Filakterie (też: tefilin) – czarne skórzane pudełeczka z jednego kawałka skóry koszernego zwierzęcia, w których znajdują się ręcznie przepisane w języku hebrajskim cztery ustępy Tory noszone na czole i ramieniu przez mężczyzn podczas modlitw w dni powszednie.

<sup>11</sup>Judenrat (Rada żydowska) – forma sprawowania władzy nad skupiskami żydowskimi, później gettami, wprowadzona przez niemieckie władze okupacyjne w 1939 r.

– Ale ona z tego żyje – odrzekła Babcia. – Widzisz, że bardzo rzadko przychodzi, bo o mięso coraz trudniej.

Był smutny, ponury dzień z lekkim kapuśniaczkim. Pani Altman przysłała z małym kawałkiem wołowiny ukrytym pod chustką i już od progu powiedziała:

– To ostatni raz. Idziemy do getta, a potem pewnie nas wywiozą. Mówią, że do Rzeszowa, ale kto to wie?

Załatwiły z Babią zakup, pani Altmanowa przysiadła na chwilę, która długo się przeciągnęła. Babcia spytała:

– Czy nie ma możliwości uniknięcia getta. Nic wam nie można pomóc?

– Co tu można zrobić? W tych domach bez piwnic, tu gdzie na jednego katolika przypada jeden Żyd, gdzie w każdym domu słyhać, co się w drugim mówi. Może ktoś „na polach” mógłby?

– Ma pani znajomych w Przewrotnem, Hucisku, Pogwizdowie.

– Tam jeszcze gorzej, wieś podejrzana, dziedzic ręką w rękę z Niemcami i wójt taki sam.

Nastało milczenie. Po chwili pani Altman znów zaczęła mówić:

– Nam nikt nie może udzielić pomocy, my musimy zginąć, to w naszych księgach zapisane, takie przeznaczenie. Ja to czytałam, ja wiem.

Zabrzmiało to jak *kismet*<sup>12</sup>. Pani Altmanowa wyciągnęła przed siebie otwarte dłonie w geście przekazującym nieuniknioną losu i dalej mówiła:

---

<sup>12</sup> Tureckie słowo oznaczające przeznaczenie, fatum, los, stosowane zazwyczaj przez muzułmanów. Termin *kismet* jest najczęściej stosowany na określenie niespodziewanych wydarzeń i niewytłumaczalnych zrzędzeń losu. Jest on ściśle, bardziej niż europejskie pojęcie „przeznaczenia”, związany z religią i Bogiem.

– Ale i na was przyjdą ciężkie czasy, będzie wam bardzo źle. Źle będzie, gdy wróci Kałme (miała na myśli siostrzeńca) i jemu podobni<sup>13</sup>. To źli ludzie, oni w nic nie wierzą.

Zaczęła cicho płakać.

– Żał mi dzieci, swoich i innych, nie siebie. Ja już swoje przeżyłam.

Nikogo w domu nie było oprócz Babci i mnie, siedzącej w ulubionym miejscu na schodkach do małego pokoiku i robiącej coś na drutach. Babcia opuściła głowę. Wycierała oczy.

– Cóż ja mogę? Mój Boże...

– Niech pani rejentowa nie płacze, wiem, pani mi dobrze życzy.

Wstała wolno z krzesła, wyciągnęła rękę do Babci, potem do mnie.

– Żegnajcie, zostańcie z Bogiem!

– Nie, jeszcze się zobaczymy.

– Ja już nie przyjdę. Dziękuję, dziękuję!

Za co dziękowała? Za Babci bezsilne łzy?

Żeby zakończyć sprawę karnej kompanii trzeba powiedzieć, że i drugiej grupce udało się przechytryć dowództwo i jego zakazy oraz kary.

Ksiądz Jakub Forsysiewicz, proboszcz głogowski<sup>14</sup>, usłyszał w deszczową noc cichutkie pukanie do okna swojej sypialni. Zerwał się, uchylił okno, ale na początku nikogo w ciemności nie dojrzał, za to usłyszał szept:

– *Laudetur Jesus Christus!*

– *In saecula saeculorum!* Kto tam?

<sup>13</sup> Kałme (Kalman) Birnfeld był siostrzeńcem Altmanowej, ideowym komunistą (patrz opowiadanie *Druga Hanka*).

<sup>14</sup> Ksiądz Jakub Forsysiewicz (1891-1978) do Głogowa Małopolskiego trafił w 1921 r. Początkowo pracował jako wikariusz, a od 1929 r. przejął obowiązki proboszcza, funkcję tę sprawował do 1967 r., resztę życia spędził w mieście jako emeryt. Pochowany na głogowskim cmentarzu parafialnym na Piasku.

Postać podniosła się i przytulona do ściany spytała:

– Czy ksiądz proboszcz rozumie po niemiecku?

– Tak – odpowiedział „Kuba”, absolwent „cysorskiego” gimnazjum.

– Prosimy o spowiedź. Jesteśmy klerykami. Czy ksiądz się nie boi?

– Zaczekajcie.

Narzucił w pośpiechu sutannę i buty, zabrał klucz od kościoła i udał się do zakrystii. Za nim, po jednym, szybko przeskoczyli przestrzeń między plebanią i kościołem żołnierze, przedtem dokładnie sprawdzwszy zza węgła, czy ich ktoś nie widział.

Spowiedź nie trwała długo. Ksiądz wygłosił do żołnierzy krótką naukę i udzielił Komunii Świętej, którą, płacząc z radości, przyjęli. Po krótkiej modlitwie ksiądz Jakub przyrzekał się lepiej przy blasku świecy chłopcom i zauważył ich bladość i wychudzenie. Na pytanie, czy im czegoś nie trzeba, przyznali się z ociąganiem, że są po prostu bardzo głodni, bo nie dość, że kompania ma zmniejszone racje, to jeszcze dobrani kompanowie pozbawiają ich jedzenia, a dowództwo patrzy na szykany przez palce, a może nawet po cichu je aprobuje. Proboszcz pobiegł do spiżarni, złapał, co było pod ręką i za chwilkę nikogo nie było w kościele. Dziwiono się tylko rano ubytkom.

Zgodnie z umową klerycy zjawili się jeszcze kilka razy nocami. Okazało się, że idąc na ćwiczenia na łąki, położone za kościołem, dobrze zaobserwowali układ budynków. Pozbawieni od długiego czasu praktyk religijnych postanowili zaryzykować, licząc na odwagę polskiego księdza.

Ostrzegli księdza przed „kommilitonami”<sup>15</sup>, prosząc, aby przekazał, iż w razie jakiegokolwiek podejrzanej sytuacji „psy zostaną spuszczone z łańcucha” i wtedy biada miasteczku,

<sup>15</sup> *Commiliton* z łac. „towarzysz”.



a zwłaszcza ludności żydowskiej. O zgwałceniu kobiety nie wiedzieli, bo tamci się nie pochwalili, bojąc się konsekwencji z ustaw norymberskich, a ludność też skargi nie wniosła, bo do kogo?

Ksiądz Jakub, uchodzący u pewnych ludzi za arcyostrożnego, był w gruncie rzeczy człowiekiem odważnym i miał takie sprawki wobec Niemców na sumieniu, za które mógł dobrze zwieździć okolice nad Sołą lub koło Monachium<sup>16</sup>. Jawnego ostrzegania nie dało się obębnić tak, jak zwykle urzędowe obwieszczenia<sup>17</sup>. Coś jednak, opierając się na tragedii z Żydówką, przekazał burmistrzowi, coś w formie omawiania szóstego i dziewiątego przykazania powiedział na kazaniu, a grzmiał z ambony, aż się kościół trząsł, grzechów owieczek nie owijając w bawełnę: było tam potępione i lenistwo, i szkodzenie bliźnim, zawiść i mielenie po próznicy językiem.

Tym razem jednak mielenie to okazało się pomocnym. Wystarczyło bowiem, że ksiądz opędził się od „Salki spod kościoła”, mieszkającej w domu starców fundowanym jeszcze przez Mikołaja Ligęzę<sup>18</sup> w XVII wieku, burcząc, że zamiast latać, siedziałyby lepiej w domu, bo Niemcy nawet jej, brzydkiej i bezzębnej, mogą nie przepuścić, a już za parę godzin obie społeczności były zaalarmowane. Salka obleciała kogo się dało, od Chany do Hanki, od Szmula do Piotra. W takich razach była wręcz nieoceniona.

---

<sup>16</sup> Nad Sołą leży Oświęcim, w którym Niemcy założyli obóz koncentracyjny Auschwitz; koło Monachium był obóz niemiecki Dachau.

<sup>17</sup> „Obębnić” – termin używany w Głogowie Małopolskim na ogłaszanie przez woźnych urzędu miejskiego zarządzeń magistratu, przed ich odczytaniem woźny bębnił w służbowy bęben, dźwięk przyciągał uwagę mieszkańców miasta.

<sup>18</sup> Mikołaj Spytek Ligęza (1562-1637) – właściciel dóbr głogowskich od 1604 r. W 1630 r. założył w Głogowie Małopolskim fundację, z której utrzymywano w mieście tzw. szpital, tj. przytułek dla ubogich. Fundacja działała do 1949 r. i została zlikwidowana wskutek decyzji Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej.

Jedyną osobą, jakiej nie bał się powierzyć proboszcz prawdy o źródle wiadomości, był mój Dziadek. Miał on wprawdzie swoisty stosunek do zewnętrznych oznak wiary, ale ksiądz musiał wiedzieć coś więcej i Dziadka szanował ze wzajemnością. Przy tym wiedział, że Dziadzio jako notariusz umie dochować tajemnicy. Dziadzio dużo później powiedział to mnie, odbierając słowo, że nie powiem.

Karna kompania miała pewien plus u mnie. Bardzo ładnie śpiewali, nie tylko osławione „hei li, hei lo”. Celowała w śpiewie grupa z Czech i właściwie jedynie oni dostawali czasem przepustki. Bo też to było wojsko, przysłowiowe Szwejki, mocno posunięte w latach. Dwóch takich bohaterów szło sobie kiedyś naszą ulicą i na stuk maszyny, na której przepisywałam jakąś bardzo pilną pracę, zajrzeli do otwartego okna. Słyszałam słowa czeskie, nagle jednak przeszli na niemiecką:

– *Schau mal, welch, eine hübsche, kleine Jüdin!*

– *Na, stimmt!*

„Ładną” i „Żydówkę” darowałam, bądź co bądź to komplement przy urodzie Żydówek, ale jak się ma 15 lat – *kleine*<sup>19</sup> brzmi obraźliwie.

Poszli sobie. Dziadzio się zdenerwował.

– Może zrobiłabyś wreszcie coś z tymi twoimi włosami. Kręć ci się nad czołem. Przypnij je. Nim się wytłumaczysz, dlaczego nie nosisz gwiazdy, może cię kula trafić.

Sam przeżył taką niemiłą przygodę, po której szybko zgolił od wielu lat noszoną bródkę hiszpankę, przyciął wąsy i cwikier zamienił na okulary. Długo tłumaczył czepiającym się go Niemcom na drodze do Rzeszowa, że nie ma obowiązku nosić opaski, nie chcieli wierzyć, pomogła wreszcie interwencja jadącego z nim burmistrza, pana Józefa Wagnera<sup>20</sup>.

<sup>19</sup> *Kleine* z niemieckiego „mała”.

<sup>20</sup> Józef Wagner (1871-1971) korzeniami powiązany z narodowością nie-

Inna rzecz, że na będącej w moim pudełku fotografii, robionej przez ulicznego fotografa przed wojną na ulicy 3-go Maja w Rzeszowie, i Dziadzio, i drugi pan wyglądają zupełnie tak samo. Taki sam kapelusz, płaszcz, cwikier, bródka i wąsy; jeden to Dziadzio, Stanisław Jaworski, drugi jeśli nie pan Wachs, to ktoś bardzo do niego podobny.

### Strzał o zmroku

Doktor obojga praw, Joachim Kolber, był jednym z dwóch adwokatów w Głogowie. W sądzie grodzkim, do którego oprócz miasteczka należało dwadzieścia wsi, spraw toczyło się sporo, a wcale nie najmniejszą ich część stanowiły klasyczne „pyskówki”, czyli sprawy z oskarżenia prywatnego o obrazę czci, w których stronami zwykle bywały kobiety<sup>21</sup>. Ciekawa była geografia tych spraw: w jednych wsiach było ich mało, natomiast w innych sporo.

W ogóle lubiano się procesować. Były nawet rodziny słynnych „proceśników”, które bez sądu żyć nie umiały. Panowie mecenas na brak klienteli nie narzekali. Stawiali przeciwno sobie: wysoki, barczysty, siwy pan Zdzisław O., o twarzy ozdobionej szlacheckim wąsem, i również wysoki, lekko

---

miecką, jego ojciec urodził się w Norymberdze. Józef Wagner czuł się spolonizowanym Niemcem, w czasie II wojny światowej samowolnie objął obowiązki burmistrza w Głogowie Małopolskim i został zatwierdzony na tym urzędzie przez niemieckiego okupanta. Jego działalność cechowała się ochronieniem mieszkańców miasta przed niemieckimi represjami.

<sup>21</sup> W 1855 r. władze austriackie wprowadziły w Galicji reformę administracji – utworzono 17 urzędów obwodowych (*Kreishauptmannschaft*) i 176 urzędów powiatowych (*Bezirksamt*), do tych ostatnich przypisano funkcje sądowe, odbierając tym samym uprawnienia sądom dominialnym i miejskim. W Głogowie Małopolskim został utworzony sąd powiatowy; po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. przekształcony w sąd grodzki, zajmował się głównie sprawami rejestru katastralnego. Sąd działał do 1948 r.

przygarbiony, szczupły pan Kolber, którego ascetyczna twarz przypominała z profilu twarz profesora Szymona Aszkenezego. Z zamaszystymi ruchami pierwszego skutecznie kontrastował powolny, posuwisty chód i oszczędna gestykulacja dłoni o długich palcach drugiego.

Mecenas Kolber był samotny. Jak mi mówiono, nigdy nie był żonaty. O powodach tego celibatu różnie mówiono. Jedni, że mu narzeczona, którą bardzo kochał, zmarła. Drudzy, że mu odmówiono panny, przeznaczając ją dla bogacza bądź też uczonego rabina. Inni wreszcie, że nieszczęśliwie kochał się w chrześcijance, dla matki nie chciał zmienić wiary, krył się z uczuciem. Sprawa ujawniła się rzekomo dopiero po latach, gdy jego ukochana już jako mężatka pożegnała ten padół. Prawdy trudno było dociec, choć jedną z wersji przekazała mi osoba dobrze znająca mecenasa, już po jego tragicznej śmierci.

Raczej nie pochodził z Głogowa, izolował się od społeczności żydowskiej towarzysko, zresztą ludzi o jego poziomie intelektualnym między nią nie było. Raz czy dwa razy widziałam go rozmawiającego z aptekarzem, panem Henrykiem Michałem Brandlerem. Na początku wojny widziałam jeszcze tablicę jego kancelarii, potem Niemcy zabronili Żydom wykonywania zawodu. Doktor żył z posiadanych zapasów i z tego, co mu znosili dawni klienci, będący nieraz jego dłużnikami.

Studiował prawdopodobnie w Krakowie, chociaż coś mi się śni, że wspominał i Lwów, więc być może i tu, i tam. Zawsze był uprzejmy, zachodził czasem do sądu porozmawiać, bo bardzo musiał mu dokuczać brak tego, czym żył przez lata. Prawnikiem był w opinii mego Dziadka dobrym.

Nie mogłabym sobie wyobrazić tego poważnego pana w sytuacji komicznej. A jednak.

Na samym początku wojny samoloty niemieckie nadlatywały w kierunku Rzeszowa, gdzie zrzucały bomby. W jednym z nalotów zginęła wówczas właścicielka domu przy ul.

Skarbowej w Rzeszowie, w którym przez krótki czas mieszkali Dziadkowie, a zarazem właścicielka hurtowni drewna, pani Blochowa, z córką. Nadlatujące samoloty wzbudziły popłoch w Głogowie. Kto żyw chował się. Z gmachu sądu wypadli: sędzia, dwaj urzędnicy, woźny, adwokaci, strony i świadkowie.

– Nie, to był widok, mówię ci – opowiadał Dziadek, który właśnie z rynku szedł do swojej kancelarii notarialnej. – Na początku wielkimi susami pędził sędzia K. – potężne chłopisko – za nim gnał sekretarz, poprawiając spadające okulary, potem drugi urzędnik, trzymając w ręku, nie wiedzieć czemu, kałamarz. Woźny też coś w popłochu zabrał – śmieciarkę ze zmiotką. Baby otoczyły mecenasa O. Wreszcie na ostatku w todze usiłował za nimi nadażyć doktor Kolber, który o biegu miał bardzo małe pojęcie.

Cały ten orszak skręcił za róg sądu, wpadł na kartoflisko i ułożył się rządkiem obok siebie, przy czym babiny zarzuciły kiecki na głowy, ukazując bieliznę lub jej całkowity brak.

Dziadek stanął pod drzewem i choć wcale nie był w nastroju bohaterskim, nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Samoloty poleciały nad Rzeszów, po jakimś czasie wróciły i odleciały. Gdy huk ich ucichł, całe towarzystwo powstało, otrzępało odzienie z kurzu i wróciło na salę sądową kończyć rozprawę. Musiał to być poniedziałek – dzień głównych rozpraw.

Sędzia sklął baby, że wojna, a one się „prawują”, aresztu nie zarządził, podobnie jak w czasie całej wojny. Zwymyślane przeciwniczki podały sobie ręce i dopiero wtedy się zaczęło.

Dziadek wszedł do sądu, gdy wzajemne pretensje sięgały zenitu. Każdy z panów – z wyjątkiem mecenasza Kolbera – zarzucił innym panikarstwo i pociągnięcie do ucieczki.

– A pan sędzia, to sadził pierwszy!

– A pan, to mnie gonił, ale nie zdołał, bo nogi za krótkie!

– Panu to też nic nie brakowało.

– Macie szczęście – pogodził ich Dziadzio – że lotnicy wami się nie zainteresowali, przecież z tych lętotów ziemniaczanych świetnie was było widać. A te babskie sempiterny! Jakby z karabinu pociągnął, byłby wam wszystkie „chałpiny” przestrzelił!

Podanymi wyżej słowami określano wówczas część ciała, leżącą bezpośrednio poniżej pleców. Logika była nie do odparcia. Towarzystwo zamilkło, tylko mecenas Kolber zauważył:

– Ma pan rację, panie rejencie. Nieźle to musiało wyglądać. Ja w tej todze.

Jak już wspomniałam, mecenas był samotny, co więcej, był samotnikiem. Odwiedzał tylko jedną rodzinę młodego małżeństwa z synkiem, mieszkającą wraz z matką tej pani i jej siostrą – starszą panną. Pani ta pracowała w notariacie. Mama wraz z nami odwiedzała tę panią, której mąż pracował jakiś czas poza Głogowem. Zwykle podczas naszej bytności spotykałyśmy tam mecenasa, który siedział na stałym swoim miejscu w kącie kuchni, bo nie lubił przebywać w pokoju od ulicy. Mówił mało, czasem gładził pięknego czarnego kota, czasem coś wspominał z dawnych lat, ale większość czasu wpatrywał się w ogień pieca. Wydaje mi się, że stołował się też tam.

Wiosną 1942 roku powstało getto, ale Żydom wolno było wychodzić na noc, tylko zamykano drewnianą bramę u wylotu ulicy Wysockiej. Dzień był piękny, wieczór zapadał spokojny, cichy, rozmawiałyśmy w ogrodzie z bliską sąsiadką, żoną leśniczego, a siostrą kapitana przebywającego w Polskich Siłach Zbrojnych w Afryce, gdy powietrze rozdarł odgłos strzału, dochodzący od strony rynku.

– Znowu? Kogo znowu zabili?

Za parę minut, gdy wyszłyśmy na ulicę, zobaczyłyśmy biegnącą żonę szewca Marię K., która dziwnym zbiegiem okoliczności często była posłańcem złych wieści. Krzyczała głośno:

- Mecenasa zabili!
- Którego?
- Kolbera!
- Kto strzelił?
- Ten wysoki „ziandar”.

Tego popołudnia mecenas odwiedził znów znajomy dom. Siedział długo, nic nie mówiąc, parę razy zaczynał i nie kończył jakiegoś zdanie, aż w końcu spytał:

- Która to godzina?
- Dziewiąta się zbliża, panie mecenasie.

Westchnął, pożegnał się, pogładził chłopczyka po głowie i wyszedł.

Jak mówili świadkowie, szedł spokojnie, wolno, ale bardzo zamyślony, i nie uklonił się Niemcowi.

Zabił go młody chłopak, syn niemieckich kolonistów z okolic Ranizowa z dawna osiadłych w Polsce<sup>22</sup>.

## Bajgle

Jak mała, szara kulka toczyła się przez głogowski rynek i przyległe uliczki, przystając jedynie w dni targowe obok kobiet sprzedających nabiał. Przygarbioną sylwetkę zdawał się jeszcze bardziej przyciągać ku ziemi duży, owalny kosz z pałąkiem, wyłożony białą lub kraciastą ściereczką i takąż ściereczką nakryty. Z kosza tego sprzedawała drożdżowe obwarzanki posypane makiem, pospolicie zwane bajglami.

Wołano na nią Perla, tak spolszczając biblijne imię Pesel. I nie było w tym nic dziwnego. Chana była Hanią lub Hanką, Bajla zamieniała się w Bronkę, a Naftala w Naftulę. Nawet Josek często był po prostu Józkiem. Zabawnym zbiegiem

---

<sup>22</sup> Walenty Kotula (ur. 1950) opowiada, że jego mama, Krystyna z Matejskich Kotula, była świadkiem śmierci Joachima Kolbera. Zob. W. Kotula, *Ślady wojny w mojej świadomości – osoby urodzonej po 1945 r.*

G

Miejscowość: *Hogisz* .....  
 Gmina: *Hogisz* .....  
 Powiat: *Rienow* .....  
 Województwo: *Rienow* .....

KWESTIONARIUSZ

o egzekucjach rasowych i zbrodniach rasowych

1/ data i miejsce egzekucji: *22 czerwca 1942*

2/ rodzaj egzekucji / rozstrzelanie, powieszenie itp.: *rozstrzelany*

3/ dane, dotyczące zamordowanych: *rych*

Polacy, Żydzi, cudzoziemcy: *rych - adwokat*

ile osób zamordowano: *jedną*

skąd przywieziono ofiary: *nr nieznany*

nazwisko, wiek, zawód, adresy: *Dr. Kolber Joachim*

ARHIWUM PAŃSTWOWE  
RZESZÓW

Il. 2. Powojenny kwestionariusz dokumentujący śmierć dr. Joachima Kolbera (zbiory Archiwum Państwowego w Rzeszowie)

okoliczności, znajoma mi dobrze Rozalia – Różia, została kiedyś zawołana przez sąsiadkę Żydówkę Rejzą, co miało świadczyć o poufałości, a zostało przyjęte przez tak zawołaną z dużym ubawieniem. Tak już zostało.

– Przekażcie tam, jak będziecie, że Rejza pozdrawia – potwórzył nam ktoś.



Perłę znali wszyscy, a najlepiej dzieci. Tu do kogoś zagadała, tam chwileczkę się zatrzymała, ale tylko chwileczkę, bo towar musiał być sprzedany. Perla była tylko pośrednikiem. Kto wypiekał obwarzanki, nie wiem. Wiem jednak, że gdy po blisko dwóch miesiącach jedzenia sowieckiego chleba o konsystencji i kolorze sapowatej ziemi zjadłam najpierw biały chleb i białe bułki na stacji Zwierzyniec-Biały Słup, a potem wbiłam zęby w chrupiący obwarzanek, poczułam przysłowiowe niebo w gębie, myśląc naiwnie, że może tu jednak będzie choć troszkę lepiej, skoro można jeść obwarzanki nie gorsze niż te z tureckiej cukierni w Warszawie, przywożone przez Ojca z podróży służbowej. Był to mój przysmak.

Lubiłam te obwarzanki i lubiłam Perłę, która zawsze ciepło mówiła „proszę” i „dziękuję”, uśmiechając się do dzieci. Czy miała jakąś rodzinę i gdzie mieszkała, nie mogę sobie dziś przypomnieć.

Jakość obwarzanków nie zmieniła się przez cały 1940 i połowę 1941 roku. Potem zaczęły szarzeć, zrobiły się całkiem ciemne i wyczuwało się w nich nawet zapach jęczmienia. Smak też ulegał zmianie, były właściwie niesmaczne. Perla też coraz rzadziej zjawiała się w domu u nas ze swoim towarem.

Kiedy ostatni raz przyszła, była już wiosna 1942 roku. Szła ciężko, pierwszy raz zauważyłam wtedy, że jest to stara kobieta, wysuwające się spod chustki na czoło włosy były zupełnie białe. Szurając nogami po glinianej posadzce sieni, otworzyła drzwi od kuchni i stanęła w progu, nie mówiąc nic. W koszyku było jeszcze sporo czarnych obwarzanków. Nie przelewało się u nas i Babcia nie miała chyba wielkiej ochoty na kupienie niemal niejadalnego pieczywa, ale gdy spojrzała w twarz „Żydówki z pomarańczami” jak z obrazu Gierymskiego, wstała z krzesła, wyjęła z szafki pugilares i wręczyła Perli pieniądze za kilka obwarzanków, mówiąc:

– Reszty nie trzeba.

Trzęsącymi się dłońmi podała „bieda” obwarzanki, które potem jadłyśmy obie i rosły nam w gardle, tak nam było żal... Schowała pieniądze do kieszeni fartucha, popatrzyła zażalwionymi oczyma i bez słowa, kiwnąwszy tylko głową, wyszła z kuchni.

Zorientowałam się, że Babcia zapłaciła o wiele więcej niż się należało.

– Nie mogłam inaczej – powiedziała ni to do siebie, ni to w formie usprawiedliwienia się.

Od tego czasu Perli nie widziałam. Babcia, zapytawszy kogoś, otrzymała odpowiedź, że trochę choruje, ale ktoś się nią opiekuje.

Był piękny, wyjątkowy jak na owo deszczowe lato, dzień na przełomie maja i czerwca, gdy wyszedłszy z kancelarii udałam się na pocztę, licząc, że odbiorę list z oflagu. Czekałam z paroma osobami na wydanie poczty. W pewnej chwili usłyszeliśmy jakieś krzyki. Z listem w rękę wybiegłam na zewnętrzne schody ratusza. Rynek o południowej godzinie był niemal pusty, tylko na rogu przy placyku ze zrujnowaną bożnicą coś się działo. Jakaś wysoka postać okładała pałką i ręką, pomagając sobie kopniakami, drobną postać kobiecą, z której ust wydobywał się szloch i jęk, z czasem skowyt.

W kierunku tej dwójki osób biegli ludzie. Słysząc było przeciągły krzyk kobiecy i głosy:

– Zostaw, łotrze!

– Jezus, Maria, on ją zabije, ratujcie Perłę!

– Ty...

Jakiś mężczyzna doskoczył do bijącego, łapiąc go od tyłu za rękę z pałką, która upadła na ziemię, inny strącił mu szarą, mundurową czapkę z głowy. Dwie kobiety odciągnęły kulejącą i płaczącą Perłę, zabierając koszyk, z którego wypadło kilka obwarzanków. Porwały je jakieś psy. Powoli spadał kurz wzniesiony przez uczestników zajścia.

Wszystko odbyło się błyskawicznie, w odległości kilkadziesiąt metrów ode mnie. Nie wiem, kiedy zbiegłam ze schodów ratusza. Musiałam widać zrobić jakiś ruch, aby bieć w kierunku zajścia, bo ktoś, kogo nawet nie pamiętam, położył mi rękę na ramieniu, mówiąc:

– Przecież to szalenie!

Za chwilę znów coś się zaczęło dziać. Kilku mężczyzn krzychało coś beładnie w kierunku bijącego, który stał z opuszczonymi rękami. Zaciśnięte groźnie pięści podnosić się zaczęły ku niemu, słychać było wyrazy polskie i w jidysz. Od strony ulicy Wysockiej biegła z krzykiem kobieta. Dopała, gestykulując, do sprawcy zajścia, osłaniając go i odganiając otaczających.

Nagle zobaczyłam, że na rynku pokazało się więcej ludzi, patrzących w kierunku spektaklu.

Wreszcie uciszyło się, mężczyźni pogrozili, odeszli, wysoki chłopak podniósł czapkę i pałkę i wraz z kobietą odeszli w kierunku, z którego ona przybiegła.

Nie jestem zupełnie pewna, czy Żydzi z Głogowa zostali już wówczas zgrupowani w getcie przy ulicy Wysockiej i Perla złamała zakaz wychodzenia z towarem (getto było zamykane tylko na noc) czy też było to wynikiem jakiegoś zakazu handlu domokrażnego, wydanego przez Niemców nieco wcześniej, którego pilnowała policja żydowska na polecenie Judenratu.

Prześladowca Perli był najbardziej znanym policjantem. Zjawił się w Głogowie na początku wojny wraz z rodzicami, których był, zdaje się, jedynym synem. Jak mi mówiono, przyjechali oni z Łodzi, gdzie ojciec był zamożnym kupcem.

Chłopak był śliczny. Wysoki, smukły, wysportowany, o zdrowej cerze, lekko smagłej, pięknych oczach i lekko falistych ciemnych włosach. Przedstawiał typ raczej włoski. Nie wiadomo o nim wiele, podobno była w Głogowie jakaś rodzina matki, stąd to osiedlenie się.

Eleganckie ubrania i płaszcze chłopca wzbudzały i zachwyty, i zazdrość rówieśników oraz starszych, gdy w lecie zaczął paradować w pięknych kremowych spodniach i jasnych koszulkach z krótkimi rękawami (ku lekkiemu zgorzeniu chasydzkiej społeczności), zazdrość doszła zenitu.

Spotkałyśmy go raz, idąc od zagonu, który uprawiałyśmy, albo skądinąd, trudno dziś ustalić, objuczone solidnie, gdy szedł z dwoma pannami na spacer. W małym Głogowie nie zawsze noszono opaski z gwiazdami Dawida, cała więc elegancko ubrana trójka była trochę jak zjawa z innych czasów.

Chłopak opowiadał coś z zapalem, pokazując ruchami odbijanie piłki tenisowej.

– Musiał grać sporo i to niezłe – orzekłyśmy obie, niegdyś zapalone bywalczyni kortów tenisowych.

Absolutnie nie dało się określić jego wieku. Wydawał się dorosły, ktoś mi mówił, że podobno przed samą wojną zdał maturę. Widać było, że wyrzuconego z dobrych warunków rodzinnego domu na małomiasteczkowy pył i błoto, rozpierała gorycz, wściekłość i energia, z którą nie mógł dać sobie rady. To pewnie spowodowało wstąpienie do policji, w której mógł się napawać władzą i wyzywać na słabszych. W krótkiej drodze stał się postrachem, otoczoną grozą i nienawiścią. Nic mu było kopnąć dziecko, uderzyć pałką kobietę, popchnąć starca. Jak mówiono, bali się go nawet członkowie Rady. Odsunięto się od niego, ale to tylko go podniecało.

Dobrze pamiętam jego sylwetkę w tweedowej marynarce, w bryczesach i długich butach, w czapce okrągłej na głowie. Przechodziłam na drugą stronę ulicy, gdy go spotkałam, bo nigdy nie można było być pewnym, czy w jakimś odruchu nie strąci z chodnika lub nie zdzieli pałką. Gdy nikt nie widział, czuł się panem sytuacji. Bał się tylko Niemców i komendanta posterunku granatowej policji, człowieka o bardzo



Il. 3. Zdjęcie z Żydówkami w czasie przerwy w pracy. Razem z nimi pozuje żydowski policjant. Według Teresy Mastalskiej-Chwiejczak jest to ta sama osoba, która pobiła Perłę

dobrej opinii, uprawiającego przy tym zgoła inną, a wielce Niemcom podejrzaną działalność, o czym na szczęście nie wiadano.

W jakiś czas później wszystką ludność żydowską z Głogowa wywieziono do getta w Rzeszowie, a potem... potem była już tylko kaźń.

Zostały w Rzeszowie tylko niedobitki. W zimie 1942/1943 musiałam jeździć do dentysty do Rzeszowa. Pewnego razu

zobaczyłam na jednej z ulic małą grupkę mężczyzn Żydów, dwóch czy trzech policjantów żydowskich i kilku Niemców. Między policjantami był ten chłopak. Gorzej ubrany, poszarzały na twarzy, patrzył jakoś tępo przed siebie. Nie widział nas, szliśmy drugą stroną ulicy, zresztą trudno było poznać kogokolwiek okutanego w ciepłą chustkę. Jakimi zasługami uzyskał przedłużenie życia?

Był to jeden z dwóch przypadków spotkania Żydów z Głogowa po zagładzie getta w Rzeszowie.

Drugim razem zdarzyło się to dokładnie na dwa, trzy dni przed kapitulacją armii Paulusa<sup>23</sup>. Jeszcze nad naszymi głowami przeleciał startujący z lotniska w Jasionce ogromny samolot na gąsienicach, jeszcze widzieliśmy wznoszące się w niebo samoloty, ciągnące za sobą szybowce dla oblężonego wojska. Znajomi, z którymi przyjechaliśmy do Rzeszowa, otrzymali wiadomość, że transport dzieci z Zamojszczyzny ma być skierowany na Rzeszów, co okazało się nieprawdą, i wyprawa miała na celu zorganizowanie jakiejś pomocy dla nich. Ja miałam kolejną, bolesną wizytę.

Szliśmy obie z Mamą w kierunku dworca, gdzie miałyśmy spotkać znajomych. W miejscu, w którym był niegdyś zrównany z ziemią przez Niemców cmentarz żydowski, spotkałyśmy kilka wynędzniałych postaci, pilnowanych przez Niemców. Pchali taczki, ciągnęli jakiś wózek. W jednej postaci rozpoznałyśmy byłego właściciela sklepu i domu na rogu rynku i ulicy Larymowicza (dawniej Stykowskiej, dzisiaj Sikorskiego), zwanego powszechnie „Kucykiem”, dla bardzo małego wzrostu. Jeśli dobrze pamiętam, był żonaty i miał dość liczne potomstwo. Włókł się teraz przez tragiczną pustkę, powstałą po wyburzeniach, po szarej grudzie,

---

<sup>23</sup> 6. Armia niemiecka, od stycznia 1942 r. dowodzona przez marszałka Friedricha Paulusa, skapitulowała w oblężonym Stalingradzie 2 lutego 1943 r.

pod ołowianym niebem, źle odziany, z opuszczoną głową. Poznał nas, mimo iż szłyśmy po drugiej stronie dość szerokiej jezdni, niedostrzegalnie skłonił głowę. Potem zrobił ruch, jakby chciał do nas przejść, ale idący Niemiec wrzasnął coś i cała grupa przyspieszyła kroku. To było straszne. Nawet nie można było zdradzić się, nie miałyśmy przy sobie nic z żywności. Miejsca nie mogłyśmy sobie znaleźć długo.

Psychologiczne zawilości postępowania młodego policjanta usiłowała, dość może naiwnie, wytłumaczyć jedna z głogowskich mieszczanek. Pobicie Perli oraz inne wyczyny tego chłopaka były przedmiotem wielu rozmów. Potępiano go ogólnie.

Pewnego dnia, niedługo po incydencie, kilka kobiet stało na ulicy, gdy nadeszła ta właśnie pani. Zaciekawiona rozmową przystanąła, a usłyszawszy, że rozmawiają o Perli, włączyła się do rozmowy.

– Idę właśnie na cmentarz, na grób mamy, dziś rocznica. Była msza.

Tu z lekką pretensją spojrzała na obecne, jakby wypominając, iż zapomniały.

– Miała pani dobrą matkę – zauważył ktoś pojednawczo.

– Tak, ale bywają i głupie matki. Jak ta tego, co bił Perłę. Leciła go ratować. Nie ma nic gorszego jak matka wariuje, że to niby ma cudnego synusia. Zawsze z tego nic dobrego nie wynika.

Potoczyła wzrokiem po rozmówczyniach, które jednak tematu nie podjęły. Fyrknęła nosem, energicznie postawiła na ziemi trzymany dotychczas w rękę nieco obtłuczony dzbanek i torbę, wyciągnęła chusteczkę, po czym zebrawszy swoje manatki, ruszyła spieszenie ku cmentarzowi, rzucając przez ramię:

– Do widzenia paniom, na mnie czas.

– Nie ma sama synów, to zazdrości – skwitowała krótko jedna z kobiet.

– E, trzeba chłopaków wychowywać – dorzuciła druga, która swoich nie musiała się wstydić.

## Druga Hanka

Przy wschodniej pierzei rynku w Głogowie, bliżej bożnicy, miała piekarnię rodzina Birnfeldów. O rodzinie tej pisał doc. Franciszek Kotula w książce *Miasteczko*, że w czasie ruchu frankistów w XVIII w. przeszła na katolicyzm, a następnie po jakimś czasie wróciła do mozaizmu<sup>24</sup>. W czasie kiedy mieszkałam w Głogowie, ojciec rodziny już nie żył. Wdowa po nim mieszkała z dwoma synami i dwiema córkami. Imiona dwojga pamiętam: Mojżesz, zwany Mojsze, i Chana, czyli Hanka. Trzeci syn, Kalman znany jako Kałme, był przed wojną dość podobno znanym działaczem komunistycznym. Przebywał we Lwowie i nie miałam okazji go poznać.

Siostrą matki rodziny była żona rzeźnika, wspomniana przeze mnie pani Altmanowa. Obie siostry i ich domy, to były dwa bieguny. Birnfeldowa, jakoś trudno mi przychodzi użyć w stosunku do niej słowo „pani”, była dużo brzydsza od siostry, niestarannie, wręcz niechlujnie ubrana, z niedbale związaną chustką. W domu nie było widać ładu mimo obecności dwóch panien.

Dziewczęta były ładne, zwłaszcza Hanka. Średniego wzrostu, zgrabna, o falistych, nawet może kręconych włosach i ciemnych, wyrazistych oczach. Podobnie jak matka

---

<sup>24</sup> F. Kotula, *Miasteczko na przykładzie Głogowa Małopolskiego i jego sąsiadów*, Rzeszów 1982, s. 175. Fragment, na który powołuje się Autorka brzmi: „Jedna z głogowskich rodzin cieszyła się dalekim pochodzeniem, mianowicie od frankistów; była to rodzina Birnfeldów. Kiedy inni frankiści często przechodzili na katolicyzm, Birnfeldowie wrócili na łono starej wiary”. Frankistami zwano zwolenników Jakuba Franka, członków stworzonej przez niego żydowskiej grupy religijnej, sekty heretyckiej w stosunku do judaizmu, której członkowie ochrztili się. Sekta ta istniała w drugiej połowie XVIII w., głównie na terenach południowej Polski.



znana była z obrotności języka, obie dużo mówiły, często się śmiały. Ubierały się ładnie. Z synów, jeden był dość bezbarwny. Drugi, Mojsze, silny, dobrze zbudowany, choć szczupły, wysoki, miał również ciemne włosy, a twarz ostrą, która przybierała często wyraz nieprzyjemnej ironii lub sarkazmu.

Dom, w którym mieszkali, był dość duży, ciągnął się w głąb posesji, tak że jeden pokój był zupełnie ciemny. Całe domostwo było także ponure. Nie bardzo wiem, dlaczego tam właśnie wyznaczono na początku wojny kwaterę dla żołnierzy niemieckich. Zajmowali jeden pokój i kiedyś będąc w piekarni po chleb, zauważyłam zupełnie zgodne współżycie tych wrogów. Dziewczyny śpiewały „O sole mio” z niemieckimi słowami:

*Du bist mein Sonne, du bist mein Herz,  
Du bist mein Wonne, du bist mein Schmerz...*

Dwóch żołnierzy im wtórowało drugim głosem, a matka coś na całą czwórkę pokrzykiwała. Jak zauważyłam, rodzina nie cieszyła się sympatią ani Polaków, ani Żydów. Początkowo powodów nie znałam, prędko jednak miałam się przekonać, dlaczego.

Przede wszystkim do Głogowa wróciło kilku mężczyzn z tzw. ucieczki do Lwowa. Dowiedziawszy się we Lwowie o bytności tam znajomka i krajana, liczyli, że przez niego uda się może łatwiej załatwić przepustkę na powrót. Rychło jednak okazało się, że znajomość z towarzyszem Kalmanem nie rozwiąże problemów, może okazać się wręcz niebezpieczna. Zostali ostrzeżeni, że Kałme jest bardzo wrogo usposobiony do Polaków, że wydaje w ręce NKWD znane mu osoby, mogące być niebezpiecznymi dla władzy sowieckiej itd. Nie omieszkali tego opowiedzieć po powrocie.

Moją osobistą niechęć do Mojżesza, bo z resztą rodziny nie miałam większej styczności, a denerwowała mnie tylko krzykliwa matka, spowodowały dwa wypadki.

Mama dała pieniądze na zakup żywności, więc ktoś z bliskich pojechał do majątku w Przewrotnem, aby tam kupić zboże, względnie mąkę. Dla oszczędności jechał na jednej furze z Mojżeszem Birnfeldem, który również w tym samym celu tam się udawał. Jak już wspomniałam, dziadek jego był niegdyś tam pachciarzem. Nie wiadomo było jeszcze, że dziedzic już wysługuje się Niemcom, za co później spotkała go zasłużona kara<sup>25</sup>. Przykrym więc widokiem było patrzenie na uczujących we dworze wesoło oficerów niemieckich w towarzystwie pana domu.

Transakcja doszła do skutku. Obaj mężczyźni wracali razem, rozmawiając. W pewnym momencie padło takie zdanie współczujące:

– Można spodziewać się najgorszego, żal mi was. Niemcy okropnie przecież już obeszlą się z ludnością żydowską u siebie, to i tutaj mogą dziać się straszne rzeczy. Będzie wam szczególnie ciężko. Boję się o was.

Mojsze wykrzywił twarz w grymasie i przez zaciśnięte zęby powiedział:

– Nic nie szkodzi. Oni najpierw nas, a my potem was!

Zaśmiał się szyderczo i do końca drogi się nie odezwał. Słyszałam opowiadanie o tym incydencie tyle razy i tyle osób je słyszało, że nie może być cienia wątpliwości.

Po pewnym czasie zaczęliśmy sami piec chleb. Najpierw był dość biały, potem nagle brakło mąki i jakoś nie można było kupić. Mama kazała mi przesiać otręby. Odsianą mąkę zmieszała z resztą bielszej i urobiła ciasto na dwa bochenki. Kazała mi je zanieść do piekarza, ponieważ szkoda było drzewa na taki mały wypiek w piecu chlebowym. Przysłałam

<sup>25</sup> Patrz przyp. 5.

do piekarni i grzecznie, jak zwykle, poprosiłam o upieczenie. Mojżesz popatrzył na koszyczki, w których miałam chleb, potem z nieopisaną złośliwością na mnie, zaczął się śmiać i wołać na cały głos:

– Ha, ha, skończyły się dobre czasy, pani rejentowa każe córce piec chleb, a wnuczka, córka oficera, przesiewa otręby. Co, nieprawda? Dobrze wam tak!

Nie słyszałam prawie, co mówi, ale tak to mniej więcej brzmiało. Miałam wówczas czternaście lat i wielką ochotę rzucenia mu tych koszyczków z ciastem w twarz. Spuściłam głowę, aby powstrzymać łzy wściekłości. Jeść trzeba było. Spokojnie spytałam, kiedy mam przyjść po pieczywo. W domu powiedziałam tylko, że Mojsze zauważył dodatek przesiewanej mąki, pomijając inne szczegóły.

Od tego czasu zaczęło się stałe pieczenie chleba w domu i więcej bliższej styczności z Mojżeszem nie miałam.

W przeciwieństwie do innych Żydów, ciężko nieraz pracujących, aby utrzymać siebie i rodzinę, robiących całymi dniami na drutach swetry, przerabiających stare futra na nowe, pomagających matkom w dźwiganiu ciężarów, Chana i jej siostra traktowane były przez matkę jak księżniczki. Często widywałam je na spacerze, a opinia społeczna głosiła, że matka kochająca wszystkie dzieci miłością wprost zwierzęcą, w stosunku do córek podnosi temperaturę uczuć jeszcze o dalsze pięćdziesiąt procent. Powtarzam tu to zdanie z tzw. obowiązku kronikarskiego. Sama się nimi nie zajmowałam, bo czasu miałam bardzo mało. Uczyłam się sama, a trochę z pomocą dobrych ludzi, pracowałam, szlifowałam z Babcią język niemiecki, żeby przynajmniej coś rozumieć, jeśli mnie wywozą na roboty, i opanowałam go w dobrym stopniu. Wreszcie do późna przerabiałam na drutach wełnę.

Przy wywożeniu Żydów do Rzeszowa rozległa się pogłoska, że Hanka gdzieś zniknęła. Uparcie twierdzono, że do Rzeszowa nie dojechała.

Była najbrzydsza pora roku. Jeszcze trochę śniegu leżało na grudach, ale już gdzieśgdzie w bruzdach i stajeniskach płynęła woda. Na tle boru fioletowo odbijały się gałęzie brzoź. Na niebie smutno wisiały ciężkie chmury, popadywało. Przedwiośnie. W takiej to porze rozniosła się wieść po miasteczku, że Niemcy złapali ukrywającą się dotąd Chanę Birnfeld i zastrzelili ją<sup>26</sup>. Wiadomość przynieśli leśni, tj. gajowi. Jednakże powtarzana z ust do ust, jak to w takich przypadkach bywa, przedstawiana była w coraz to innych realiach. Ludzie właściwie byli już tak otrzaskani ze strzałami w lesie, że nie robiło to na nich większego wrażenia. Od czasu do czasu wybuchwała jednak panika, jak właśnie wtedy późną zimą 1943 r. Zauważono dużą grupę Niemców jadących pojazdami konnymi. Ktoś zaalarmował placówkę AK i całe miasto. Niemcy zatrzymali się po drodze z Rzeszowa, co jeszcze podniosło grozę, ponieważ z drugiej strony doszła wiadomość o przygotowywanej pacyfikacji miasta. Przygotowywaliśmy się na najgorsze, spaliśmy w ubraniach. O ukryciu się nie było mowy. Całe szczęście, że była to tylko wyprawa na polowanie, najpierw w jednym, później w drugim kompleksie leśnym z pogwałceniem wszelkich zasad ochrony zwierzyny. Nie zapomnę jednak turkotu kół pod naszymi oknami.

Muszę tu zaznaczyć, że służba leśna i w lasach państwowych, i w lasach prywatnych, z wyjątkiem leśniczego Königa – *volksdeutscha*, była związana ściśle z konspiracją. Praktycznie od początku prowadzili rejestr wszystkich egzekucji w lasach, sama byłam mimowolnym świadkiem przekazywania go naszemu sąsiadowi – leśniczemu. Rejestry te na pewno nie istnieją w całości, ponieważ dom komendanta placówki został zbombardowany, grzebiąc matkę i rodzeństwo, a on sam aresztowany przez NKWD [z] końcem października 1944 r. zaginał bez wieści. Szukać go można by tylko w zbiorowej

<sup>26</sup> Było to 13 lutego 1943 r.

mogile w Trzebusce. Leśni narażali życie, podczołgując się blisko miejsc kaźni<sup>27</sup>.

Dramaty mają to do siebie, że muszą się łączyć i przeplatać z groteską – wiedział o tym wielki Wiliam. Tak też pewnego dnia zajechał przed dom leśniczego chłopiec na koniu, syn jednego z leśnych, i zawołał:

– Panie leśniczy! Panie leśniczy! Tatuś kazali panu dać znać, że takie Niemce jak gestapy przyjechały!

Leśni więc wiedzieli dobrze.

Potwierdzenie przyszło zupełnie nieoczekiwanie. Pisałam coś na maszynie w kancelarii, oczekując na strony sprawy. Pierwszy wszedł pan Franciszek S. jako świadek lub biegły. Przywitaliśmy się, wiedział, kim jestem. Siadł ciężko na ławie, podparł głowę na dłoniach, siedział chwilę bardzo ponury. Wreszcie wstał, uchylił drzwi, zamknął je, podszedł do okna, sprawdził, że nikogo nie ma. Potem przysunął sobie krzesło bliżej mnie i szeptem zapytał:

– Czy pani wie, że złapano Hankę, siostrę Mojsze, piekarza?

– Słyszałam coś o tym.

– Powiem pani, jak to było, muszę komuś powiedzieć. Wiem, że pani mogę. Pani jest wnuczką pana rejenta, a ojciec pani jest oficerem w niewoli. Proszę teraz nikomu nie mówić, ale może kiedyś trzeba będzie powiedzieć.

– Dobrze – odpowiedziałam.

Żal mi było tego, widać, bardzo zgnębionego człowieka. Czulałam, że stało się coś strasznego, choć nie byłam na tyle dorosła, żeby wydawać sądy.

<sup>27</sup> Ostatnim dowódcą placówki AK w Głogowie Małopolskim był Kazimierz Nitka. Jego dom przy ul. Głogowieckiego 37 zbombardowało niemieckie lotnictwo 29 lipca 1944 r. Zginęła wówczas matka Nitki, Karolina, siostra Stanisława i brat Teodor. Jesienią 1944 r. rosyjskie NKWD w Trzebusce założyło obóz dla aresztowanych żołnierzy z AK. Zamordowano ich w pobliskim lesie w Turzy.

– Hanka ukrywała się w naszej wsi. Od lata. Uciekła przed wywózką. Przechodziła z rąk do rąk i jakoś się udawało. Proszono ją tylko, żeby nie wychodziła, bo nie miała dokumentów. Ale ją coś gnało, nie mogła usiedzieć. Wyszła z domu i poszła drogą w kierunku lasu. Nadjechali Niemcy wozem i nawet chyba nie zwróciliby uwagi na wiejską dziewczynę w nasuniętej na czoło chustce. Ona nawet nie tak bardzo wyglądała na Żydówkę w wiejskim ubraniu. Coś się jednak stało Hance, zaczęła przyspieszać kroku i uciekać w pole. Tam ją złapali i domyślili się, kogo mają. Zaczęli ją wypytywać, gdzie się przechowywała; wówczas Hanka zaczęła pokazywać ręką i tu, i tam, wołała, że wszędzie. Akurat na to nadjechałem rowerem (miał pozwolenie na rower ze względu na funkcję w gminie). Zmartwiałem i nie wiedziałem, co robić. Niemcy zapytali Hankę, czy mnie zna, ona potwierdziła i podała nazwisko. Potem przyskoczyli do mnie z pytaniem, czy wiem, kim ona jest. Zaprzeczyć nie mogłem. Podałem nazwisko i to, że jest siostrą piekarza z Głogowa. Hanka dodała, że wiedziałem o jej pobycie we wsi. Zaczęło być całkiem źle. Żał mi było dziewczyny, ale wyboru nie miałem, trzeba było ratować wieś. Udając spokój, powiedziałem Niemcom, że chyba widzą, że dziewczyna jest nieprzytomna ze strachu albo zwariowała. Zacząłem prosić, aby nie gubili niewinnych ludzi we wsi. Jakoś ich przekonałem. Powiedzieli, że zabierają ją do Rzeszowa. Mnie jeden odciągnął na bok i powiedział po polsku:

– Wyście ją ratowali, a ona was chciała zgubić! – i pokisał głową.

Mój gość chwilę milczał, westchnął i dokończył:

– Nie rozumiem, co ją tak pędziło? Dlaczego się tak narażała i narażała nas? Nie daje mi ta sprawa spokoju.

Na odpowiedź nie było czasu, bo weszły strony.

Wieś owa, granicząca ze Stobierną i Jasionką, nazywa się Wysoka i była znana z kilku radykalnych działaczy

chłopskich, organizatorów strajku chłopskiego w 1937 r., który *nota bene* był przez wielu chłopów oceniany bardzo negatywnie i surowo, jako godzący w interes państwa w czasie budowy w tych stronach Centralnego Okręgu Przemysłowego. Mówili o tym otwarciu w czasie wojny. Negatywnie też oceniano niektórych organizatorów, wskazując, że zaniedbują gospodarstwa, a zajmują się polityką. W czasie wojny działała w tamtych stronach GL i AL.

Wiele lat upłynęło od tego czasu. Teraz trochę inaczej patrzę na Hanke. Myślę, że ciężar utraty wszystkich bliskich był dla niej nie do zniesienia, powodował niepokój wewnętrzny. Nie przypuszczam natomiast, że – jak myślałam – chciała iść na mogiłę w Borze, złapano ją w zupełnie innym miejscu. Nie wiem tylko, dlaczego chciała zgubić ludzi, którzy jej pomogli. Wiedziała, że ratunku dla niej już nie ma.

W tym też czasie nastąpiło kilka egzekucji ludzi ukrywających Żydów w naszej okolicy. Znana pomnikowa praca *Ten jest z Ojczyzny mojej* podaje dane o dwóch osobach, wymieniając nazwiska Marii i Jana Samojednych, i że dzieła dokonała „lotna brygada policji niemieckiej”, zabijając ich we własnym mieszkaniu<sup>28</sup>. Ta brygada prawdopodobnie złapała Hanke. Zabici mieszkali „na polach”<sup>29</sup>.

Ja wiem z tamtych lat, że ofiar było więcej. Między innymi pamiętam, że podawano nazwisko małżeństwa Wilków. Oprócz tego z ulicy Rzeszowskiej (przed wojną kapitana Mieczysława Głogowieckiego) zabrano w tym czasie panią Ożogową, właścicielkę murowanego domu, który wynajmowała rodzina Nitków<sup>30</sup>. Do domu pp. Nitków przychodziłam, bo

<sup>28</sup> *Ten jest z Ojczyzny mojej. Polacy ratujący Żydów 1939-1945* – książka Władysława Bartoszewskiego i Zofii Lewinówny, wydana w 1966 r. Jan (ur. 1880 r.) i Maria (ur. 1893 r.) Samojedni przechowywali w domu ukrywających się Żydów, za co zostali zamordowani. przez Niemców.

<sup>29</sup> Samojedni mieszkali przy ul. Polnej 31.

<sup>30</sup> Dom przy ul. Głogowieckiego 33.

mieli ładny ogród, mgr Kazimierz Nitka, porucznik rezerwy, pomagał mi jakiś czas w nauce. W 1941 r. przerwał ze względu na zaangażowanie w konspiracji. Trudnił się zawodowo fotografią, co niewątpliwie przydało się w pracy konspiracyjnej, bo fotografował i Niemców, a był z zawodu nauczycielem matematyki, uczył w gimnazjum w Kolbuszowej.

Pani Ożogowa miała hodowlę pięknych kur karmazynów, która tak mi się podobała, że prosiłam o pokazanie ich, stąd znajomość z nią. Pani ta żyła samotnie, była w separacji z mężem mieszkającym w Rzeszowie. Dwóch jej córek również przy niej nie było. Jej sytuacja powodowała pewną izolację z jej strony. Nikt jej absolutnie nie podejrzewał, że mogłaby kogoś przechowywać<sup>31</sup>.

W tym samym dniu, w którym zabito Samojednych, lub w dzień później, a w każdym razie w tym czasie, zajęchali Niemcy przed dom pani Ożogowej i wyprowadzili z niego ukrytego tam Żyda<sup>32</sup>. Zastrzelili go albo na cmentarzu żydowskim na tzw. Borsuku (w głogowskiej wymowie „Borsugu”), albo w pobliskim lasku. Panią Ożogową najpierw zaprowadzili na rynek, a potem wywieźli do Rzeszowa. Opowiadali sąsiedzi, że słyszeli jej przeraźliwy krzyk i widzieli rozpaczliwie wyciągnięte ręce, kiedy przejeżdżała koło swojego domu. W trzy dni później mąż zawiadomił o jej śmierci

---

<sup>31</sup> Maria Ożóg z domu Matejska (1902-1943) w 1924 r. poślubiła Jana Ożoga, małżeństwo miało dwie córki, Janinę i Stanisławę; nie przetrwało próby czasu. Ożóg porzucił żonę i z córkami przeniósł się do Rzeszowa. Za pomoc w ukrywaniu Żydów Marię Ożóg aresztowano i przewieziono na posterunek żandarmerii do Łańcuta, tam zamordował ją *volksdeutsch* Józef Kokot, z pochodzenia Czech. Została pochowana na łańcuckim cmentarzu parafialnym. Marię Ożóg pośmiertnie (2010 r.) odznaczono Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

<sup>32</sup> Samojednych zamordowano 19 lutego 1943 r. Marię Ożogową aresztowano tego dnia, w którym Birnfeldówna dostała się w ręce niemieckie, 13 lutego 1943 r.



i zlikwidował jej sprawy. Miasto zastanawiało się, skąd Niemcy dowiedzieli się o przechowywaniu Żydów. Hipotez było sporo.

Jedna, bardzo moim zdaniem pochopna i niczym nie poparta, wskazywała na pewnego pana, powodując nawet pewien ostracyzm. Nie wierzę w jego winę, a sprawę przypisuję jego dużej ruchliwości, która mogła nasunąć podejrzenia, że coś wypaplał. Hipotezę tę uważam za krzywdzącą. Druga nosi znamiona prawdopodobieństwa. Na jakieś trzy dni przed zdarzeniem pochwycono młodego Żyda. Za obietnicę darowania życia miał on wskazać miejsce ukrycia współwynawców. Przekradł się do Głogowa, gdzie miał być ukryty w domu jednego z zabitych. Strzały na cmentarzu żydowskim, na którym go zastrzelono, słyszeliśmy, i widzieliśmy wówczas Niemców<sup>33</sup>.

<sup>33</sup> Franciszek Kotula w książce *Losy Żydów rzeszowskich 1939-1944. Kronika tamtych dni*, łączy aresztowanie i śmierć Hanny Birnfeld ze śmiercią małżeństwa Samojednych, Marii Ożóg i Władysława Piechowskiego. Birnfeldówna miała być tą, która wszystkich wydała. Stosowny fragment książki brzmi następująco: „Była w miasteczku zamożna rodzina Birnfeldów – piekarzy. W lipcu 1942 roku składała się już tylko z pięciu osób. Wśród nich była młoda i bardzo dorodna dziewczyna, którą doskonale znałem. Zakochał się w niej bez pamięci miejscowy kawaler, Władysław Piechowski. On to znalazł dla rodziny Birnfeldów schronienie u starszego bezdzietnego małżeństwa, w domu przy ulicy Polnej, natomiast dziewczynę ukrył w sąsiedniej wsi, Wysokiej Głogowskiej. Tam dostarczał jej żywność sam lub przez dobrą znajomą z Głogowa. Co się później z Birnfeldami stało, nie wiem. Wszystko było w porządku do jesieni 1942 roku. Któregoś dnia dziewczyna szła drogą. Nagle ukazała się bryczka, a w niej Niemcy. Zaskoczona dziewczyna odwróciła głowę i zasłoniła się chustką. Niemieccy żandarmi zatrzymali się i rozpoznali w dziewczynie Żydówkę. Zawieźli ją do sołtysa. Co się tam stało, trudno powiedzieć, dość, że dziewczyna zaczęła wskazywać domy w Wysokiej, w których się ukrywała. We wszystkich pięciu żandarmi zastrzelili gospodarzy, w tym jedną kobietę. Przerazoni sołtys wyjątkowo dobrze rozumiejący po niemiecku, zrobił alarm, że dziewczyna jest obłąkana i nie wie, co mówi, i że przez nią wystrzelają pół wsi... Wtedy zastrzelili dziewczynę. Na podstawie jej zeznań

Jest jeszcze jedna możliwość. Głogów stał się miejscem bardzo podejrzanym po spaleniu ratusza przez oddział AL, względnie GL, bo różnie to podają publikacje<sup>34</sup>. Spłonęły częściowo akta, piętro ratusza, ale pozostała lista zakładników, w której na pierwszym miejscu znajdował się mgr Kazimierz Nitka, a na dalszych inni żołnierze AK. Nie rozumiem, dlaczego atakujący nie zniszczyli jej. Zorientowawszy się w sytuacji Józef Wagner, burmistrz – nie był Niemcem za jakiego go niektórzy uważają – wyjął listę z gabloty i zniszczył. Nikt o tym dotychczas nie wie, dopiero tu ujawniam ten fakt przekazany pod tajemnicą memu Dziadkowi. On powiedział mi o tym po wojnie. Myślę, że sprawa ta w powojennych dochodzeniach nie znalazła odbicia z przyczyn ogólnie wiadomych<sup>35</sup>.

Niemcy, nie mając nazwisk zakładników, wybrali wśród mieszkańców kilku starców i rozstrzelali ich. Sam Kreishauptmann Ehaus kierował akcją<sup>36</sup>. Widziałam go. Wysoki, ponury,

---

w samym Głogowie zastrzelono cztery osoby: owo starsze małżeństwo, Piechowskiego i kobietę, która Birnfeldównie przynosiła żywność" (F. Kotula, *Losy Żydów rzeszowskich*, Rzeszów 1999, s. 105).

<sup>34</sup> Ataku na posterunek policji granatowej w głogowskim ratuszu dokonała w nocy z 22 na 23 lutego 1943 r. grupa zbrojna „Iskra” komunistycznej Gwardii Ludowej, która po zdobyciu podpaliła ratusz. 1 stycznia 1944 r. na mocy dekretu komunistycznej Krajowej Rady Narodowej GL została przemianowana na Armię Ludową.

<sup>35</sup> Wspominana przez Autorkę lista zakładników nie ma związku z pomaganiem i ukrywaniem Żydów, a dotyczy napaści „Iskry” na głogowski ratusz. Niemcy wzięli zakładników wywodzących się głównie z inteligencji, jednak wobec negocjacji prowadzonych przez burmistrza Józefa Wagnera, który przekonał okupantów, że sami głogowianie nie mają nic wspólnego z podpaleniem i że zrobili to nieznanymi napastnikami, zakładników wypuszczono.

<sup>36</sup> Heinz Ehaus (1906-?), major SS, od 1933 r. członek NSDAP, w latach 1940-1944 starosta okręgowy (*Kreishauptmann*) w Rzeszowie. Zaciekle wróg polskośći, skrzętnie realizował politykę grabieży i niszczenia polskiej i żydowskiej kultury. W 1942 r. kierował akcją likwidacji rzeszow-

chudy drab o zielonawej twarzy. Można się go było z miejsca przestraszyć. Nie widzę potrzeby bliższego omawiania tego zdarzenia, pisano o nim sporo, w każdym razie stwierdzenie w leksykonie o „przejęciowym opanowaniu miasta” uważam za grubą przesadę<sup>37</sup>.

Nie tylko Głogów. Okolica była dosłownie na muszce. Pacyfikacje Przewrotnego, gdzie w grudniu 1942 r. zginęła rodzina Zellerów z Głogowa wraz z ukrywającymi ich, Huciska, Stobiernej i Trzebowniska, egzekucja w Rzeszowie-Staroniwie, zdawały się zaciskać pętlę<sup>38</sup>. Doszła do tego plotka, a może nie tylko, powstała przy kontroli kenkart, że przygotowywana jest taka sama akcja, jak na Zamojszczyźnie, buduje się w głębi lasu obóz, ludność ma być poddawana selekcji rasowej z dalszymi skutkami. Wieści od niemieckich władz powiatowych w Rzeszowie – przysięgano, że prawdziwe – twierdziły, że Niemców, oprócz innych spraw jak dywersja, sabotaż, doprowadzało do pasji ratowanie Żydów, będąc przeciw tylko kroplą w morzu.

---

skiego getta. Po wojnie pragnąc uniknąć odpowiedzialności prawdopodobnie popełnił samobójstwo.

<sup>37</sup> Tak określono atak „Iskry” na ratusz w II t. opracowania *Miasta polskie w Tysiącleciu* wydany w 1967 r.

<sup>38</sup> Rodzina Zellerów przed wojną mieszkała na Studzieńcu, przysiółku Przewrotnego, w czasie wojny została przesiedlona do getta w Głogowie. Przed likwidacją getta w czerwcu 1942 r. rodzina zbiegła i ukryła się w lesie w okolicach Studzieńca. W grudniu 1942 r. Niemcy wymordowali ich, łącznie pięć osób, zabijając sześciu innych mieszkańców Przewrotnego, którzy im pomagali. Natomiast pacyfikacje Huciska (12 czerwca 1943 r.), Stobiernej (8 lipca 1943 r.) i Trzebowniska (13 lipca 1943 r.) związane były z działaniami odwetowymi Niemców wywołanymi bandyckimi napadami partyzantów z „Iskry” (M. Krzysztofiński, *Komuniści na Rzeszowszczyźnie 1918-1944/1945*, Rzeszów 2010, s. 196-206). We wsi Staroniwa (obecnie dzielnica Rzeszowa) Niemcy 1 czerwca 1943 r. zamordowali kilkudziesięciu mieszkańców, w odwecie za uszkodzenie przez nieznaną sprawców elektrycznej podstacji transformatorowej.

W każdym razie wyrok wydany na zdrajców, wójta z Przewrotnego Andrzeja Pacynę, i właściciela majątku Stanisława Ostoję-Politalskiego, był sprawiedliwą zapłatą za krew i Polaków, i Żydów. Długo polowano na nich. Pierwszy zginął wójt, Politalski uciekł do Rzeszowa, powierzając zarząd majątku znajomemu. Jedna z zasadzek nie udała się, ale o mały włos byłaby pozbawiła życia jednego z oficerów AK, który znalazł się tam przypadkowo. Był w tym dniu także u nas w Głogowie.

– Kule mi gwizdały koło głowy – powiedział. Uchodziłam wśród sąsiadek za jego narzeczoną, co nie było prawdą, mogło „trochę” kosztować, ale smarkatej imponowało.

Kule żołnierzy AK ugodziły śmiertelnie zdrajcę niedaleko od miejsca kaźni Żydów w Borze. Nemezis<sup>39</sup>.

Niedawno dowiedziałam się, że oprócz Hanki zginął zakochany w niej podobno młody człowiek. Trzeba będzie może dociec bliższych szczegółów<sup>40</sup>. Nieżyjąca już śp. Hanna z Bazanów Odrzywolska, którą znałam bardzo dobrze przez wychowujących ją śp. wujostwo Sikorów, w jakiejś rozmowie nocnej powiedziała mi, że będąc dziewczynką widziała

---

<sup>39</sup> Śmierć Stanisława Politalskiego i Andrzeja Pacyny nie miała nic wspólnego z mordami dokonanymi na Żydach przez Niemców. Wśród mieszkańców Przewrotnego panowało przekonanie, że zarówno ziemianin jak i wójt współpracują z Niemcami. W rzeczywistości współpraca ta ograniczała się do wykonywania poleceń okupanta. Sam fakt, że Niemcy często gościli w dworku Politalskiego nie jest dowodem zdrady, natomiast rzeczą oczywistą jest, iż między mieszkańcami wsi a ziemianinem istniały animozje sięgające jeszcze czasów przedwojennych, związane ze strajkami chłopskimi. Podczas pacyfikacji Przewrotnego dokonanych w marcu i maju 1943 r. oraz Huciska w czerwcu 1943 r. Niemcy posługiwali się listami osób podejrzanych o działalność w partyzantce komunistycznej, co doprowadziło do oskarżeń Politalskiego i Pacyny o pomoc w sporządzeniu list. Oskarżenia to nigdy nie zostało udowodnione, niemniej sąd podziemny wydał wyrok śmierci na Politalskiego.

<sup>40</sup> Według oficjalnej wersji Władysław Piechowski i Hanna Birnfeld byli parą.



Il. 4. Anna (Hanna, Chana) Birnfeld i jej narzeczonny Władysław Piechowski, który z pomocą Marii Ożóg ukrywał ją po likwidacji głogowskiego getta. Wszyscy zostali zamordowani

odjazd pani Ożogowej do Rzeszowa. Na odkrytej ciężarówce nie było miejsca do siedzenia, a pani Ożogowa nie mogła ustać bez oparcia. Ktoś wszedł do ratusza, zabrał jakieś krzesło, które umocowano na samochodzie, i tak nastąpił wyjazd.

### *Lejkych*

Weszłam do apteki mieszczącej się w domu państwa Piechowskich przy zachodniej pierzei rynku, a za mną wsunął się mały, może czteroletni chłopczyk.

– *Lejkych, gib mir lejkych!* – zawołał, chwytając rączkami brzeg lady i podnosząc się na paluszkach.

– Nie mam, dziecko – odpowiedział pan Brandler i powtórzył to samo w jidysz.

– Chcę *lejkych*, daj mi – domagał się malec. Łzy zaczynały się zbierać w czarnych oczkach, jedynej ozdobie szczupłej buzi.

Pan Brandler poszedł na zaplecze i wyniósł stamtąd trochę wojennych cukierków w torebeczce. Mały złapał je, wpakował szybko dwa do ust, popychając paluszkami, mruknął coś, co miało być podziękowaniem, i wybiegł. Oczka mu poweselały.

– Czy pani wie, o co to dziecko prosiło? – zwrócił się do mnie aptekarz.

– Nie.

– Ale pani podobno zna niemiecki. Jak się nazywa piernik?

– Ach, *der Lebkuchen* – natychmiast rozjaśniło mi się w głowie.

– Widzi pani, ten mały to wnuczek Weinsteinów. Dostawał czasem kawałek piernika ode mnie. Mieliśmy miód i ludzie czasem przynosili. Ale dziś nie mam piernika.

– U nas też nie ma.

– Czym mogę pani służyć?

Mimo bardzo młodego wieku byłam tak duża i tak dorosło wyglądałam, że już przed wojną mówiono do mnie „pani”. Wcześniej zresztą tak tytułowano dziewczęta.

Pan Henryk Michał Brandler i jego małżonka swoim wyglądem przypominali narzędzie rolnicze, jakim jest cep. Powszechne to mniemanie byłoby całkowicie uzasadnione, gdyby pan Brandler, personifikujący dzierżak, był nieco szczuplejszy, a pani Brandler jeszcze trochę niższa. Poza tym byli nierozłączni. To starsze małżeństwo było w sobie niezmiernie wpatrzone, jak to często bywa u stadła nie mającego dzieci.

Ona mówiła o nim czasem Henieczek, a czasem Michaś, on, dziękując za coś, całował ją w rękę. Gdy w sobotnie letnie popołudnie szli na spacer, oboje byli podobnie ubrani, on w popielatym garniturze, ona w popielatej sukience. Tylko opaski na rękach psuły harmonię ich nobliwego wyglądu. Mieszkali nie przy samej aptece, ale kilka domów dalej. Niemcy zajęli apteki właścicieli żydowskich i wyznaczyli zarządców powierniczych „Treuhänderów”. Zarządcą apteki pp. Brandlerów został mgr Jan Zaufal pochodzący z Rzeszowa, potomek przybyłych w XVIII w. kolonistów z Austrii lub południowych Niemiec. Jego rodzina, jak wiele jej podobnych, mimo że jej protoplasta był przybyszem, odznaczała się patriotyzmem, kierując się słowami poetów:

... za kroplę mojej niemieckiej krwi...

(Or-Ot)

... za nasze obco brzmiące imię

kochać musim kraj więcej...

(K. Przerwa-Tetmajer)

W niejednej publikacji spotkać można imię i nazwisko młodszego z braci, „Sprężyny”, członka Kedywu i więźnia kacetu, ich siostra Irena, była łączniczką, a ciężko chory



magister (zmarły niedługo po wojnie) tkwił po uszy w konspiracji cywilnej. O tym jednak państwo Brandlerowie nie wiedzieli i wiedzieć nie mogli. Nie można się więc dziwić, że na narzucanego im człowieka patrzyli jak na osobistego wroga. Znałam bardzo dobrze i pana Jana, któremu zawdzięczałam dużą pomoc w mojej nauce chemii i fizyki, i pannę Irenę, pomagającą bratu. Wiem, że starali się, ile mogli, łagodzić sytuację, rozumiejąc rozgoryczenie starszych państwa, pomagali im, i tylko było im czasem przykro, kiedy dochodziły ich słuchy o ich rzekomych złośliwościach.

Z biegiem czasu stosunki ułożyły się lepiej. Wtedy właśnie doszło do tragedii. Państwo Brandlerowie nie mogli pogodzić się z pójściem do getta, z koniecznością opuszczenia swojej apteki. Niknęli oboje w oczach. Spotkany przeze mnie na ulicy pan Brandler nie poznał mnie, nie przystanął, żeby porozmawiać, jak to poprzednio bywało, o swoich gimnazjalnych czasach i uniwersyteckich studiach, nie deklamował mi „Iliady”, „Odysei”, „Eneidy” i ód Horacego, które znał tak świetnie na pamięć, jak każdy wychowanek dobrego galicyjskiego gimnazjum. To były już tylko dwa cienie.

Zabrali ze sobą, co mogli. Jeszcze im przekazywano, gdy mogli wychodzić z getta, coś z ich majątku. Jeszcze starano się pocieszyć. Jeszcze wierzyli.

Pan Brandler wcześniej ani w pracach kahału, ani w radzie, o ile wiem, nie uczestniczył. Aż tu nagle został zmuszony do udziału i założenia przy tym stosownej opaski. To wiązało się z istnym tańcem na linie. Z jednej strony potępienie w razie zbyt gorliwego wykonywania rozkazów niemieckich, z drugiej śmierć.

Tak nadszedł kres życia pana Brandlera. Niedługo po śmierci dr. Kolbera zjechali do Głogowa Niemcy. Wiadomo już było, że cała społeczność żydowska z Głogowa, wraz ze zwiezionymi z okolicy Żydami-rolnikami, zostanie wywieziona do getta. Nikt nie dowiedział się, co zaszło między tymi



Niemcami i członkami rady. Twierdzenia były tak sprzeczne i wzajemnie się wykluczające, że można jedynie przypuszczać, iż rada czemuś się musiała opierać. Niemcy wyprowadzili jej członków – nie wszystkich – na rynek i załadowali do auta, którym przyjechali. Sądzone, że zabrani mają jechać do Rzeszowa w celu przygotowania miejsca dla głogowian.

Okazało się to błędem. Samochód dojechał do skraju Boru, dużego kompleksu leśnego na południe od Głogowa, który do tego lata 1942 r. był miejscem egzekucji więźniów politycznych i zakładników z Rzeszowa. Kazano nieszczęsnym wysiąść, wyprowadzono ich na lewą stronę szosy za gajówką i tam zastrzelono. Zdarzenie to obserwowało kilka osób, między innymi leśny Józef Mrocza, któremu polecono pochowanie zabitych. Według tego, co mi przekazano, Mrocza zabrał wóz, zaprzągnął konia i pędem przyjechał do Głogowa, przywożąc wiadomość. Strzały w mieście było dobrze słyhać w porze południowej. Zamordowani zostali pochowani przez Żydów, którzy z którymś policjantem pojechali wozem Mroczuki.

Oprócz pana Brandlera zginął tam przewodniczący kahału, starszy niski pan, odznaczający się dużą uprzejmością i kulturą bycia<sup>41</sup>. Pani Brandlerowa przekonana była, że mąż pojechał tylko coś załatwić i wróci. Upływały godziny, potem minęła noc, zaczęto ją pocieszać, że spotka się z mężem w Rzeszowie, bo nikt nie miał odwagi powiedzieć jej prawdy. Coś jednak wzbudziło jej podejrzenie. Może słyszała strzały? Zaczęła krążyć po ulicach, nawołując głośno męża, łapiąc za ręce spotykanych ludzi i dopytując się. Odmawiała jedzenia i słabła coraz bardziej. Oczy stawały się błędne. Zawsze starannie ubrana i uczesana elegancka pani zmieniała się w marę o rozwianych włosach, rozpiętej sukni i zakurzonych bucikach.

---

<sup>41</sup> Przewodniczącym *Judenratu* w Głogowie był Symcha Hillinger.



Il. 5. Henryk Brandler i jego żona Róża w swoim mieszkaniu w Głogowie Małopolskim w okresie międzywojennym

Ktoś wreszcie powiedział jej prawdę, w którą w pierwszej chwili nie uwierzyła. Potem był już tylko obłęd, w najdosłowniejszym tego słowa znaczeniu, i powtarzane bez ustanku imię najdroższego człowieka. Widziałam ją z daleka zgietą wpół, słaniającą się, z rękoma przy twarzy, prowadzoną przez jakąś młodą kobietę. Dziś, po upływie pół wieku, jest to tylko szary cień na tle oświetlonego słońcem domu.

Gospodarz wyznaczony na szarwark, na którego wozie jechała do Rzeszowa, opowiadał potem, że nie można jej było wsadzić na wóz, wyrывała się, uciekała, powtarzała, że ona musi iść do Henryczka, bo on na nią czeka. Trzymano ją siłą. Coś jednak musiało się rozjaśnić w jej biednym, skołatany umyśle, gdyż przejeżdżając koło skraju Boru, przeraźliwie krzyknęła. Chciała zeskoczyć, a gdy jej to udaremniiono, popadła w zupełne odrętwienie.

Mówiono, że zaraz po przyjeździe do Rzeszowa połączyła się z mężem.

## Baniak

Tego dnia słońce paliło jak rzadko kiedy. Zwykle owego lata dzień zapowiadał się dobrze, rankiem niebo było błękitne, ale już koło godziny dziesiątej pojawiały się na północy małe chmurki. Rosły potem, zbijały się w popielate kłęby, robiło się zimno i zaczynało padać. Rok 1942 był najbrzydszy ze wszystkich wojennych lat, wilgotny i smutny.

Na załadowane Żydami i ich dobytkiem, spędzone z okolicznych wsi zaprzęgi nie padła ani kropla deszczu. Długim wężem jechały z Głogowa na południe, ku odległemu o 12 kilometrów Rzeszowowi. Tragicznej sceny wypędzenia połowy ludności Głogowa nie widziałam, jeśli nie liczyć zgromadzonych na rynku furmanek. Pracowałam od rana, były w tym czasie wyznaczone jakieś rozprawy spadkowe. Zresztą nikt z nas nie uważał za stosowne grać roli bezsilnego świadka

tego dramatu. Ani Dziadzio, wzburzony w swoim poczuciu prawa, ani Babcia, tak bardzo po chrześcijańsku współczująca, ani wreszcie Mama i ja, pamiętające wypędzenie nas w Łunińcu. Uczucie *Schadenfreude*<sup>42</sup> w stosunku do współwyznawców tych, którzy nam krzywdę wyrządzili, idąc ręką w rękę z sowieckim okupantem, było nam obce i wstrętne. Pani Altman pożegnała nas już wcześniej, a po śmierci mecenasa Kolbera i magistra Brandlera bliższych znajomych nie mieliśmy.

Po kilku godzinach turkot wozów i gwar ucichł, ludzie wypędzeni uprzednio z domów przy ulicy Wysockiej, w obrębie której utworzono getto, zaczęli opuszczać domy Żydów, do których ich przeniesiono, i przemyślać o powrocie do własnych. Miasteczko zrobiło się nagle dziwnie puste i ciche. Ludzie stali grupkami, komentując wyjazd, użalając się nad dawnymi sąsiadami i znajomymi, snując kasandryczne przepowiednie co do dalszego losu pozostałej społeczności. Żałowano zwłaszcza dzieci, tych ślicznych niejednokrotnie istot o wielkich czarnych oczach i główkach w lokach. Dziwne, dopiero teraz uprzytomniłam sobie, że nie było wśród nich niemowląt i małych dzieci mających mniej jak dwa lata. Czyżby rodziły się wyłącznie dzieci poczęte jeszcze przed Wrześniem?

Wszystko to działo się jeszcze przed masowym wysiedleniem na terenach poligonu Pustków-Blizne, do których zabieranie gruntów pod lotnisko w Jasionce było dopiero prelude, więc możliwość zabrania tylko niewielkiego dobytku była dla głogowskich mieszczan czymś zupełnie niezrozumiałym<sup>43</sup>. Dla mnie już nie!

<sup>42</sup> Z niem. „radość”.

<sup>43</sup> W czasie II wojny światowej istniał w Bliznem poligon doświadczalny broni V-1 i V-2. Decyzję o lokalizacji poligonu podjęli Niemcy w sierpniu 1943 r. po zbombardowaniu przez aliantów głównego ośrodka rakietowego w Peenemünde na wyspie Uznam. Budowę lotniska w Jasionce

Zastanawiano się, z czego wywiezieni do Rzeszowa Żydzi będą żyli, stłoczeni wszak na małej przestrzeni, w dodatku bez kontaktu z Polakami, zamknięci za masywnymi żelaznymi bramami. Elegijny ton rozmów przerwał nagle ostry głos kobiety, która wzburzona zaczęła perorować:

– Dadzą sobie radę, nie martwcie się o nich. Już tam oni swoje złoto i dolary zabrali, a sposoby to oni mają!

– Co pani...?

– Ja tam swoje wiem, widziałam! Jednej Weissowej mi wystarczyło!

– Której? Tej od żelaza?

– Nie, tej starej, co to materie sprzedawała, obok Birnfelców.

Z widzenia znałam starszą, małą kobietę, która przed wojną miała sklep z materiałami (po głogowsku mówiło się „z materiałami”). Kiedy przyjechałam do Głogowa, sklep już oficjalnie nie prosperował, towar rozkupiono na początku wojny, ale mówiono, że właścicielka ma zapasy i czasem sprzedaje coś pokątnie. To nas nie interesowało, pieniądź u nas nie pachniał, ale z innych niż wespazjanowe przyczyn.

Weissowej nie lubiano, była podobno opryskliwa, mało uprzejma, w przeciwieństwie do jej męża. Czy on jeszcze wówczas żył, nie wiem dokładnie, choć wydaje mi się, że jedyny pogrzeb Żyda, jaki w Głogowie widziałam z całym obrzędem, mógł być z nim związany.

– I cóż z tą Weissową?

– Jak ją ładowali na wóz, to zabrała ze sobą taki garnek, blaszany, taki jak do bielizny, nie taki duży kocioł, ale taki mniejszy jak do ścierek lub pieluszek. Niosła go, stękając, nie mogła dać rady. Ktoś chciał jej pomóc. Gdy ładowali go na

---

rozpoczęli kilka miesięcy przed agresją w czerwcu 1941 r. na ZSRR. Wyszli wówczas okoliczną ludność, by na zajętych terenach zbudować pasy startowe.

wóz, puścił sznurek, którym pokrywka była przywiązana do uszu. Wszystko się wysypało.

– Co tam było? – przerwał ktoś pauzę obliczoną na większe wrażenie słuchaczy.

– Co? Samo srebro, pieniądze, większe i mniejsze! Jakie, to ja tam nie wiem, ale toczyło się to na wszystkie strony. A jak mieniło się w słońcu! Weissowa rzuciła się zbierać, trochę jej pomogli, jakoś to władowali, ale pewnie coś tam zostało jeszcze pod kołami wozu. A jak lamentowała! Jakiś woreczek też widziałam, pewnie ze złotem. A tak zawsze narzekała, że biedna, a jaka skąpa była, a nic na zbiórkę przed wojną nie dała<sup>44</sup>.

– Tak, tak, na pewno, nie ona jedna!

– Dajcie spokój! Tyle nieszczęścia.

Rozmówcy zaczęli się dzielić na frakcje potępiające, brońiące i łagodzące. Rozmowa dochodziła przez otwarte okno do moich uszu. Słyszałam opowiadanie jeszcze później z ust tej kobiety bez większych odchyień od pierwotnej wersji, słyszałam i od innych osób, przy czym gwoli prawdy przyznać trzeba, że ci, którzy zdarzenia nie widzieli, a jedynie powtórzyli zasłyszane, ubarwiali incydent ozdobnikami mającymi powiększać sceniczność zdarzenia. Kociołek w ich relacjach rósł i rósł, niemal do rozmiarów gorzelnianej kadzi.

Wieczorem przyszedł do nas pewien młody sąsiad. Coś się chciał Dziadzia poradzić, trochę przekazał wieści w miarę wiarygodnych i takich, które określano „jpp”, czyli „jedna pani powiedziała”. Wreszcie, załatwiwszy sprawę, wyciągnął z kieszeni marynarki mały, błyszczący przedmiot i pokazując go Babci spytał, co to jest.

---

<sup>44</sup> Przed wojną, jak w wielu polskich miastach, organizowano w Głogowie Małopolskim zbiórki pieniędzy na Fundusz Obrony Narodowej, utworzony w 1936 r. w celu uzyskania dodatkowych środków na dobrojenie armii.

Był to owalny medalion o rozmiarach w skrajnych punktach około 3-3,5 cm 2-2,5 cm. Wykonany był z kości słoniowej, a zawieszenie i łańcuszek były z platyny, co stwierdziliśmy pod lupą. Samej oprawy już nie pamiętam, ale pamiętam dobrze, iż na awersie był wizerunek koguta, bardzo delikatnie wykonany drobną kreską i pastelowymi barwami, natomiast na rewersie napis hebrajski. Wydaje mi się, że w kość wprawione były drobne, szlachetne kamyczki, bo pamiętam jakieś błyski, ale na to nie przysięgnę.

Babcia oglądała cacko i zawyrokowała, że jest to bardzo typowa ozdoba kobieca, dawana zwyczajowo przy jakiejś okazji, jakiej, też już nie mogę dokładnie sobie przypomnieć, chociaż zdaje mi się, że mówiła coś o wkraczaniu w dorosłość. Przypominam sobie, że takie medaliony różnej wielkości widziałam na wystawie u jubilera w Rzeszowie. Babcia powoływała się na swoje szkolne koleżanki, z którymi później utrzymywała kontakt, a które takie ozdoby nosiły.

Sąsiad powiedział, że po wyjeździe Żydów zaszedł na podwórko domu, w którym mieszkał jego bliski kolega. Sam właściwie nie umiał powiedzieć, dlaczego. Stał oparty o płot, gdy w chwastach zauważył coś błyszczącego, właśnie ten medalion. Musiała go zgubić któraś z kobiet. Postanowił go zabrać i przechowywać, licząc się z powrotem mieszkańców tego domu.

– A jeśli nie wrócą, będę miał po nich pamiątkę. Może tam coś jeszcze w tych chaszczach było, ale nawet mi się nie chciało szukać.

Tu trzeba zaznaczyć, że Żydzi zupełnie nie uprawiali kawałków ziemi koło domów. Po wyglądzie zachwaszczonych podwórek i spłachetków ziemi, na których rosły czasem jakieś rachityczne krzaki bądź drzewka, rozpoznawało się żydowskie obejście, przechodząc ich zapleczem.

– Dom był otwarty – ciągnął dalej – byłem w nim. Dziwnie mi było, przychodziłem tam jeszcze jako chłopak.

Strasznie tam wygląda, tak jakby chwyтали, co im pod rękę podpadnie bez ładu i składu. W śmieciach coś w kącie znów błysnęło. To była sztabka żółtego metalu. O, taka – pokazał rękoma. – Były jakieś znaki na niej.

– Mogło to być złoto, sądząc po wielkości – powiedziała Babcia, która u kogoś taki skarb widziała. – Co pan z tym zrobił?

– To też chciałem zabrać, ale za mną ktoś wlaźł do domu, nie wiem kto. Wrzuciłem za piec głęboko, też w śmieci, i zwałem. Głupi byłem, trzeba było wsadzić do kieszeni, ale się bałem, że to może jakiś Niemiec. Byłem jeszcze drugi raz tam, ale śmieci zza pieca wymieciono. Ktoś zabrał. Szkoda. Jak pani myśli, oni wrócą? Byłbym przecież oddał.

– Kto to wie?

W kilka dni później Niemcy zebrali pozostałości żydowskiego mienia na rynku i urządzili sprzedaż. Żadne z nas nie poszło. Gdyby nawet coś nam było potrzebne, to kategoryczny i nie znoszący sprzeciwu imperatyw Dziadzia byłby powstrzymał niewczesne zapędy. Zresztą ani Babcia, ani Mama nie miały takich zamiarów. A ja, pamiętna łuninieckich przeżyć, wyrzucenia naszego mienia przez sowieckich lokatorów i utworzenia muzeum z naszych (i innych ludzi) zbiorów przez adherentów wyzwolicieli, z których jednego mam wątpliwą przyjemność widzieć od czasu do czasu w telewizji, nie poszłabym za żadne skarby.

Mam fotografię z tego okresu, z tego nawet dnia kiedy była sprzedaż, robiona na rynku, ale już po zakończeniu niecnego procederu. Bardzo smutni siedzimy na ławce, Babcia i wnuki.

Jeden z innych znajomych zakupił jednak piękny kufer-szafę, wielkości wskazującej na przystosowanie do dalekich podróży. Tak ładnego przedmiotu służącego do przewozu rzeczy nigdy nie widziałam. Okucia, zamki, wyposażenie wnętrza i zewnętrzne wykończenie były w bardzo dobrym



gatunku. Na nasze zgorszone wymówki, że jednak nie wytrzymał i kupił, usprawiedliwiał się, że zna właściciela, że kupił dlatego, aby przechować dla tego znajomego, a nie z chęci zysku.

Czy i ile majątku żydowskiego zostało w rękach ludzi, którym oddano go na przechowanie, nie mogę powiedzieć. Zauważyłam pod koniec wojny na pewnym chłopczyku ubranko przerobione z kostiumu znajomej rodziców chłopca, młodej, eleganckiej panny. Przerobiono go wówczas, gdy już pewnym było, że nie wróci. I nie wiem zresztą, czy była to rzecz przechowywana, wcześniej kupiona, czy darowana.

Kiedyś po latach, ktoś wiedząc, iż nie najlepiej nam się po wojnie powodziło, zauważył, że mogliśmy być bogaci. Na moje zdumione spojrzenie usłyszałam, że tam ktoś wie doskonale, iż Żydzi byliby Dziadziowi oddali majątek w podziękowaniu za życzliwość, ale znając zasady Dziadzia nawet nie mieli odwagi tego zaproponować. Podobną historię przeżyła i rodzina mego Męża. Babci jego chciano dać w przeczuciu zagłady całą zawartość sporego sklepu z obuwem na przechowanie lub na własność, gdyby właściciele nie przeżyli. Nie chciała przyjąć daru – kilka samochodów załadowanych butami wywieźli Niemcy.

Mieszkaliśmy w bardzo złych warunkach w najniższym punkcie ulicy 3 Maja, zwanej dawniej Zabajską, stromo dość opadającej od rynku w kierunku rzeczki Szlachciny. Wilgoć w mieszkaniu była straszna, wszystko pleśniało, a stawy bolały ustawicznie. Po wyjeździe Żydów i ich zagładzie proponowano Dziadziowi zamieszkanie w dwóch solidniejszych domach, łączących się ze sobą, położonych wyżej. Można tam było lepiej się urządzić, przenieść kancelarię z budynku sądu, gdyż ciągle groziło wyrzucenie z tego szacownego przybytku sprawiedliwości. W sumie mielibyśmy o co najmniej jeden pokój więcej. Propozycja była kusząca, ale jakoś nie mogli się starsi na to zdobyć. Wydawało się to nam jakąś profanacją.

Nalegania nie ustawały, ale gdy tak sobie Dziadzio i Babcia wraz z Mamą hamletyzowali, pewnego dnia zajechali ciężarowym autem przed te domy Niemcy, zabrawszy uprzednio klucze z magistratu. Weszli do jednego pokoju na pewniaka i zerwali podłogę. Z obszernego schowka wydobyli całe skóry, miękkie i krupony, materiały i odzież oraz inne dobro. Samochód został solidnie wyładowany. Rzekomo zdradził schowek jeden z właścicieli domów; byli to dwaj bracia, uważani za lokalnych na miarę okolicy bogaczy. Całe zdarzenie widział Dziadzio wracający z biura. Mówiono, że Niemcy przyjechali jeszcze raz, ale tego już nikt z nas nie obserwował.

Pan Bóg strzegł! Ładnie bylibyśmy wyglądali, gdyby nas podkusiło wprowadzić się. Na pewno nikt by nam nie uwierzył, że nie wiedzieliśmy. Inna rzecz, że niektórzy mieli nas za idiotów. Taką okazję zmarnować!

Gdzie podziało się urządzenie domowe i rzeczy pozostałe po ludności żydowskiej – naprawdę nie wiem, choć przypominam sobie, że Niemcy przyjeżdżali do miasteczka dość często, coś wywozili, ale skąd i gdzie były te rzeczy złożone? Na te pytania, mimo usiłowań, nie znajduję odpowiedzi. Inna rzecz, że przytłoczona wydarzeniami prawie nie wychodziłam wówczas z domu. Druga sprawa, że w Głogowie było sporo biedoty, która posiadała nie meble, ale graty. Bogatsi Żydzi już przed wywiezieniem trochę sprzedawali, może coś ktoś kupił przy sprzedaży po wywiezieniu, o czym jednak nic mi, poza podanym wyżej kufrem, nie wiadomo. Chyba więc trzeba przyjąć, że Niemcy mogli wybrać to, co najlepsze, a reszta uległa totalnemu rozproszeniu lub zniszczeniu.

### Nie lubię lasu

Nie znoszę lasu ani boru, zwłaszcza na równinach lub morenowych wzgórzach. Mądrzy lekarze przypisują to czynnikom

fizjologicznym. Ja wiem, że to nieprawda. Decydującym jest tu czynnik psychologiczny. Dobrze czuję się w lasach górskich, ukochanych w dzieciństwie. W cudowne lasy Zamajszczyzny, pełne partyzanckich wspomnień rodziny mego męża, wchodzę z uczuciem składającym się ze grozy, obawy i smutku.

Jest taki kompleks leśny rozpoczynający się (jadąc z Rzeszowa na północ po prawej stronie szosy) za wsią Zaczernie, a kończący się w miejscu, w którym droga opada w dół, by po pewnej odległości znów wznieść się w kierunku do Głogowa Małopolskiego. Las ten zwany był Głogowskim Borem, gdyż przewagę miały w nim drzewa iglaste. Nie był to już pierwotny las i bór dawnej puszczy, którego pozostałością jest tzw. kaplica myśliwska w Miłocinie. Posadzony był ręką człowieka w ubiegłym stuleciu. Po przeciwnej stronie szosy lasu nie było, tylko małe, rzadkie zagajniki, głównie olchy i rosnące na podmokłym nieco terenie wierzby.

Mówienie, że tam jest kompleks leśny, jest dzisiaj przesadą. Drzewa zostały tak przetrzebione w ostatnim roku wojny przez stacjonującą w ziemiankach artylerię ukraińskiej dywizji i pułków syberyjskich, że pozostawione metrowej wysokości kikuty oraz pozostałe drzewa przedstawiały obraz godny pożałowania. Jeszcze jednak w roku 1948 bór egzystował. Gdy w dziesięć lat później pojechałam do Głogowa, nie wierzyłam relacji mego męża, że tam żadnego lasu nie ma, rośnie tylko młody chwast leśny. Okazało się to prawdą<sup>45</sup>.

---

<sup>45</sup> Autorka patrzy na kompleks leśny Bór, jak go zapamiętała w pierwszych latach po wojnie. Od sierpnia 1944 r. do stycznia 1945 r. w lesie biwakowało wojsko rosyjskie, które dokonało ogromnych zniszczeń w drzewostanie – prawie 30% wyrąbanego lasu i niemal 40% przerąbanego. Po wojnie przeprowadzono na tym terenie ponowne zalesienie. Obecnie znajduje się tam rezerwat przyrody utworzony w 1996 r. z wytyczoną ścieżką przyrodniczo-historyczną.

Za czasów mego dzieciństwa i w pierwszym okresie wojny lubiłam bardzo ten skrawek ziemi pokryty drzewami. Bór był piękny, na skraju rosły potężne sosny, rozrośnięte jak maćkowe grusze. Na jednej z nich, największej, wisiała kapliczka z figurką. W głębi drzewa stawały się wysokie, smukłe i strzeliste. Trafiało się między nimi sporo innych gatunków drzew, więc las był zdrowy.

Mała murowana kapliczka bliżej Zaczernia przypominała o tragicznej śmierci młodego porucznika austriackich dragonów. Wracając z Rzeszowa nocą do Głogowa, czyli miejsca stacjonowania jego oddziału w dawnym pałacu Lubomirskich<sup>46</sup>, uderzył głową w zamkniętą rogatkę i zginął na miejscu.

Muszę się przyznać, że nigdy w głębi tego lasu nie byłam, znam go tylko z opowiadań i z obserwacji w czasie drogi doróżką albo autobusem przed wojną i przeważnie furą w czasie wojny. Czasem tylko przed wojną robiliśmy krótki przystanek i chwilę spacerowaliśmy koło kapliczki.

Mniej więcej w połowie drogi po przeciwnej stronie kompleksu była ładna leśniczówka. Mieszkał w niej leśniczy König. Na skraju kompleksu od strony Głogowa mieszkał leśny – gajowy Józef Mroczka, w porządnej gajówce. Zabudowania te były pewnym punktem odniesienia w stosunku do odległości. Jeśli się chciało powiedzieć, że coś jest oddalone około 2,5 kilometra, to mówiło się: jak stąd (czyli z Głogowa) do Mroczki. Była to odległość mierzona szosą. W linii prostej było bliżej do niektórych domów.

Na duży ten kompleks składały się mniejsze lasy: pani Karoliny Bieniaszewskiej z Wysokiej, położone najdalej na

---

<sup>46</sup> W latach 1725-1727 Jan Kazimierz Lubomirski zbudował w Głogowie Małopolskim pałac. Przez Lubomirskich był zamieszkiwany do 1795 r.; w XIX w. przeznaczono go na koszary wojskowe, a od 1910 r. do dziś pełni funkcję przemysłową. Dawny pałac zatracił już rezydencjonalną architekturę.

wschód, oraz rodziny Czechnickich z Rzeszowa, rodziny kupieckiej, położone w pobliżu. Trzon kompleksu był w rękach hr. Dąbskiego z Rudnej Wielkiej. Jeden z folwarków majątku hrabiego znajdował się po przeciwnej stronie szosy przy końcu lasu od strony Rzeszowa. Nie jest wykluczone, że jakaś część tego kompleksu lub las położony w pewnej od niego odległości był własnością Jędrzejowiczów z Zaczernia<sup>47</sup>.

Pomniejsze lasy były w gorszym stanie, natomiast duży kompleks hrabiego był prowadzony wzorowo, ale co ciekawe, właściciel podobno traktował go jako depozyt i bardzo niechętnie wyrażał zgodę na jakieś cięcia. Nie wycinano przy tym zwartych obszarów, lecz pojedyncze egzemplarze. Taką mi wersję przekazano, przy czym dewizą miało być: „nie ja ten las sadziłem, nie ja go będę wycinał”. Rzeczywiście, nie on go zniszczył.

Tylko bardzo nieliczni ludzie zapuszczali się do Boru w czasie wojny, wyprawy po grzyby i jagody kierowane były raczej w stronę lasów położonych na północ od tzw. głogowskiego lasu i dalej. Przez dłuższe okresy i ten kompleks był w znacznej części zamknięty ze względu na olbrzymie magazyny amunicji wszelkiego rodzaju, jakie tam zrobili sobie dwukrotnie Niemcy.

Do Boru nie chodziło się z innych względów. Nigdy nie było wiadomo, czy nie wjedzie w leśną drogę samochód z Rzeszowa z ludźmi wiezionymi na rozstrzelanie. Odgłos strzałów dochodził wówczas do Głogowa, budząc smutek i przygnębienie. Kiedy te egzekucje zaczęły się dokładnie, nie mogą obecnie ustalić. Wymieniano nazwiska rozstrzelanych. Byli wśród nich członkowie podziemia, zakładnicy

---

<sup>47</sup> Las Bór należał do Jana Jędrzejowicza, właściciela dóbr ziemskich ze Staromieścia (obecnie część Rzeszowa). W 1944 r. las po wywłaszczeniu wszedł w skład utworzonego wówczas Nadleśnictwa Głogów.

i pojedynczy ludzie rozstrzelani *ad hoc* za różne czyny zakazane w Generalnym Gubernatorstwie<sup>48</sup>.

Po rozstrzelaniu członków Judenratu z Głogowa jakiś czas był względny spokój, aż tu nagle kazano się natychmiast wynosić z domu Józefowi Mrocze. Do lasu wkroczył Baudienst. Były to oddziały pracy przymusowej utworzone przez Niemców ze złapanych polskich chłopców, traktowanych bardzo źle i źle żywionych, zmuszanych do ciężkiej pracy i umundurowanych. Wyznaczano ich do odbycia takiej służby. Przeważnie starali się przed nią ukrywać, co powodowało represje dla rodziny, np. więzienie.

Wiadomość o robotach ziemnych w Borze rozniosła się bardzo szybko. Nie wiedziano tylko, czemu one mają służyć. Mówiło się o obozie dla jeńców radzieckich, o drugim Oświęcimiu i składach amunicji dla Wehrmachtu, o nowych niemieckich broniach itd., ale początkowo nikt nie przypuszczał, by mogły to być masowe groby. Gdy wreszcie taka możliwość dotarła do świadomości ludzi, padł strach, podsycany niepewnością, dla kogo mają być przeznaczone. Od wysiedlonych z Poznańskiego wiadomo było o masowych egzekucjach w Wielkopolsce i na Pomorzu, dochodziły wieści o kaźniach na całym terenie Rzeczypospolitej i w Rosji. Żydów nie brano właściwie pod uwagę. Ich bierność, brak zaangażowania w walce podziemnej oraz skrupulatność w wypełnianiu wszelkich zarządzeń władz okupacyjnych wydawała się gwarantować im w jakimś stopniu jakąś egzystencję, tyle że w warunkach niewolniczych, umożliwiających przeżycie tylko najsilniejszym. Takie były odczucia w małych miasteczkach, które oddalone od większych skupisk nie znały grozy przebywania w getcie.

---

<sup>48</sup> Do Boru od jesieni 1939 r. Niemcy przywozili więźniów przetrzymywanych w zamku Lubomirskich; egzekucji dokonywali na skraju lasu. Obecnie w tym miejscu znajduje się cmentarz wojenny.

Prawda wyszła na jaw, gdy pewnego pięknego, złowieszczonego dnia usłyszeliśmy najpierw jakieś ruchy w Borze, potem krzyki, następnie grzechot karabinów maszynowych, pojedyncze strzały i jęki ludzkie. Było to przed południem. Uprzednio ogłoszono, że w dniu tym szosa do Rzeszowa będzie w pewnych godzinach zamknięta. Był to – jeśli dobrze pamiętam – sierpień 1942 roku<sup>49</sup>.

Ekzekucje odbywały się w godzinach przedpołudniowych i po południu. Ja osobiście pamiętam lepiej popołudniowe, ponieważ przed południem pracowałam w budynku sądu, położonym za domami rynku, po przeciwnej stronie miasta. Głos z Boru dochodził tam dużo słabiej, izolowany zabudowaniami oraz odgłosami życia miasteczka.

Wydarzenia odbywające się po południu dochodziły do naszego domu i ogrodu bardzo wyraźnie, głosowo. Konfiguracja terenu była tego rodzaju, że jeśli wdrapałam się na wysoką bramę z tyłu ogrodu, to widziałam i Bór, i nawet oddalony o 10 kilometrów w prostej linii Rzeszów. Przy dobrej pogodzie i dobrym wówczas na odległość moim oczom, mogłam rozpoznać nawet poszczególne budynki i zlokalizować pożary w czasie walk w 1944 r. Wydarzeń na szosie i w Borze widzieć nie mogłam. Głos w czystym powietrzu niósł się doskonale. Nie widząc, słyszałam je jak w słuchowisku radiowym. Po kilku dniach doprowadziło mnie to do całkowitego załamania nerwowego. Miałam wówczas 16 lat. Zamykałam okna, kuliłam się na małej kanapce, zamykałam oczy, tylko płakać nie mogłam. Raz płakałam po wywiezieniu Żydów w jakiś ołowiany dzień przygnębiona lekturą *Charitas* Stefana Żeromskiego, jakąś wzmianką o pani Tannenbaumowej<sup>50</sup> i wiadomością o sukcesach Niemców.

<sup>49</sup> Mordów na Żydach w Borze dokonywano w lipcu 1942 r., podczas likwidacji rzeszowskiego getta.

<sup>50</sup> Jadwiga Tannenbaum – znajoma rodziców Autorki, rzeszowska Żydówka prowadząca przed wojną sklep z pasmanterią przy ul. Matejki.

Wezwana do jakiejś pracy robiłam wszystko mechanicznie, tępo, w zaciętym milczeniu. Żadne tłumaczenia typu „jesteśmy bezsilni, ani ci mordowani, ani my tutaj, nie mamy broni”, nie docierały do mnie. Nie tylko zresztą ja tak reagowałam. Cała rodzina była wstrząśnięta. Starsi starali się utrzymać nerwy na wodzy, ale ja wiedziałam, że stwarzają tylko pozory. Dziadzio palił papierosa za papierosem, chodził w kółko po domu. Mama uciekała do pokoju od ulicy z robotą na drutach, bo tam mniej było słychać. Babcia modliła się jeszcze żarliwiej niż zwykle. Nawet mały Brat jakoś przycichł.

Ludzie zbierali się w grupkach na ulicy bardzo przygnębieni. Ustały utyskiwania na Żydów, które słyszało się, gdy żyli wśród nas, wspomniano sąsiadów, znajomych, popłakiwano ze współczuciem.

Dobrze wszyscy wiedzieli, kto tam jest mordowany i przez kogo.

Żałuję bardzo, że Babcia spaliła po jakichś niemieckich wyczynach pod koniec wojny swój wojenny pamiętnik, w którym skrupulatnie notowała wydarzenia. Na pewno były w nim notatki dotyczące egzekucji w Borze.

*Memoria fragilis est*<sup>51</sup> – mówili starożytni. Z okrucieństw pamięci wyłania się fakt, że egzekucje nie były prowadzone w dni targów w Rzeszowie, z wyjątkiem jednego tygodnia, ponieważ pamiętam, że Dziadzio jeździł do Rzeszowa w sprawach urzędowych. Zwykle jeździł w piątek, czasem we wtorek, a pamiętam, że w tym jednym tygodniu nie mógł jechać, bo woźny magistracki ogłosił, zwołując ludzi za pomocą blaszanego bębna, że do Rzeszowa można jechać tylko objazdem. Szosa na rozkaz władz była zamknięta.

Z tych dziadziowych wyjazdów uzyskaliśmy wiadomość, że jazda na odcinku od domu Mroczy do prawie końca

---

<sup>51</sup> Łac. „pamięć jest krucha”.



Boru jest wprost niemożliwa, gdyż rozkładające się ciała wydają taki odór, iż nie pomaga nawet trzymanie chusteczki nasączonej wódką, octem czy czymś podobnym. Taki stan trwał bardzo długo. Jeszcze za moją pierwszą jazdą po długim okresie przerwy do Rzeszowa, końcem listopada i w czasie wyjątkowo ciepłego grudnia 1942 r., wdychało się słodką wą woń.

Kto zakopywał groby, tego dziś nie wiem na pewno, bo mówiono, że początkowo Baudienst, co mogło być prawdopodobne, bo o analogicznym przypadku słyszałam od rodziny z Bochni. Potem znów mówiono, że Baudienst wycofano, ponieważ chłopcy byli źródłem rozprzestrzeniania się wiadomości o zbrodni. Przyszła również wiadomość, że cała historia z Baudienstem jest nieprawdą, a groby kopali i zasypywali Żydzi. Wydaje mi się, że prawda leży pośrodku, tzn. część prac wykonywał Baudienst, a część Żydzi, co mogłyby potwierdzać słyszane w jakiś czas po masowych egzekucjach pojedyncze strzały. Niemcy w takich razach byli wyjątkowo okrutni. Ludzie wpadali do dołów nie tylko martwi. Byli ranni ciężko i nawet lżej ranni.

Wieści o ruszaniu się przez kilka dni mogił, o dochodzących z nich ludzkich jękach docierały do Głogowa, prawdopodobnie za pośrednictwem leśnych, członków AK. Przypominam sobie wiadomości, że udało się kilku rannym, stosunkowo płytko zakopanym, wydostać z grobu i przy pomocy Polaków ukryć. Na ile były one prawdziwe – nie wiem.

Same egzekucje były prawdopodobnie również obserwowane z ukrycia, ponieważ w miasteczku opowiadano o rozpaczy ofiar, o jakimś śpiewie modlitewnym, czy modłach. Mówiono też o całkowitej bierności i poddaniu się losowi, a jako wyjątek przytaczano młodą dziewczynę, która rzuciła się na Niemca w odruchu rozpaczy czy też nie chcąc ginąć jak bezbronne zwierzę. Opowiadano, że Niemiec ten był całkowicie zaskoczony. Zabił ją inny. Kolejna wiadomość

głosiła, że takiej drugiej dziewczynie darowano życie i odwieziono ją do Rzeszowa. Obawiam się jednak, że jej los mógł być znacznie gorszy, a może spotkała ją straszliwa hańba.

Czy te wiadomości były oparte na prawdzie, czy były z gatunku bohaterskich legend, czy wreszcie odbiciem wiadomości o podobnej historii w jednym z obozów koncentracyjnych, tego dziś się nie da ustalić, przynajmniej na podstawie mojej wiedzy.

Nigdy nie słyszałam, czy ustalono skład wiekowy i socjalny oraz miejsce pochodzenia ofiar. Były słuchy, że zabito tam wyłącznie Żydów z Rzeszowa z ewentualnym dodatkiem pewnej ilości z poznańskich miasteczek, zgromadzonych w rzeszowskim getcie. Relacje nie mówiły o dzieciach, wspomniano natomiast o ludziach starych i bardzo starych, zwłaszcza na początku<sup>52</sup>. Spowodowało to plotkę, że Niemcy likwidują wyłącznie element bezproduktywny, zostawiając resztę do niewolniczej pracy. Na dwóch zdjęciach opublikowanych w książce docenta Franciszka Kotuli *Tamten Rzeszów* widać na jednym ludzi starych, zgrzybiałych i wyścieńczonych, na drugim zaś Niemca w mundurze i trzech ludzi pochylonych nad zwłokami lub człowiekiem leżącym. Jeden wygląda również na Niemca, sądząc po czapce, sylwetkę drugiego trudno rozszyfrować, trzeci w kaszkiecie, ubrany jest w krótkie, kraciaste, względnie kropkowane spodenki gimnastyczne i białą koszulę. Kto zrobił te fotografie, nie podano, tylko informację: „Ze zbiorów autora”.

Po egzekucji rozeszła się wieść, że Żydówki, widząc, co się będzie działo zdejmowały z palców obrączki i pierścionki, z uszów kolczyki, ze szyi korale i łańcuszki, i rzucały je daleko od siebie. Rzucano podobno również woreczki i portmonetki.

<sup>52</sup> W Borze byli mordowani Żydzi w podeszłym wieku i osoby chore, m.in. pacjenci żydowskiego szpitala w Rzeszowie. Niemcy w ten sposób pozbyli się ludzi, którzy nie rokowali, że przeżyją transport do obozu zagłady w Bełżcu.



Il. 6. Żydzi mordowani przez Niemców w podgłogowskim lesie Bór

Rzekomo Niemcy przeszukiwali teren, a również to samo mówiono o ludziach z sąsiednich wiosek. Drudzy zaprzeczali temu mówiąc, że Niemcy mogli to robić zaraz po kaźni, natomiast po kilku dniach nikt nie wytrzymałby straszliwego odoru. Przytaczali jako argument, że nawet leśniczy König uciekł na jakichś czas z leśniczówki. Na tego leśniczego się zżymano jako na człowieka mieszkającego wiele lat w okolicy. Rodzina miała pracować u Dąbskich od pokoleń. Pan ów zapomniał szybko języka polskiego, nałożył typowy bawarski kapelusik i zaczął być bardzo arogancki. Na pewno o mordzie wiedział przed jego popełnieniem, odbywał się przecież w jego rewirze leśnym. Hrabiego nikt już wówczas nie zawiadamiał. König uważał się za króla lasu.

– *Bin König!*<sup>53</sup> – przedstawił się burmistrzowi Głogowa.

– *Sie sind aber kein König. Sie heissen nur so!*<sup>54</sup> – odpowiedział doskonale władający językiem niemieckim pan Józef Wagner. Trząśł się ze złości, opowiadając o tym zdarzeniu, bo dalszy ciąg był jednym popisem buty *volksdeutscha*.

Miejsce wybrane na masowy mord i jego przebieg świadczyły dobitnie o przeświadczeniu Niemców, iż są panami życia i śmierci. Niedaleko bardzo ruchliwej szosy, w pobliżu wsi i miasteczka, w biały dzień. Okoliczni mieszkańcy mówili, że samochody wjeżdżały do lasu od świtu do popołudnia, strzały pamiętam do około godziny 16, w południe była przerwa. Niemcy byli podnieceni wracając, niektórzy mówili, że śpiewali i zachowywali się jak po wódce.

W moim przeświadczeniu dużą rolę odegrała tu osoba *Kreishauptmanna* Ehausy, z charakteru wielkiego tchórza, który w zagrożeniu potrafił wszystko zostawić w domu zarekwirowanym adwokatowi Liwo, gdzie mieszkał z żoną i czwórką dzieci, i uciec – jak mówiono – w bieliźnie na zamek

<sup>53</sup> Jestem królem.

<sup>54</sup> Ależ wy nie jesteście królem. Wy się tylko tak nazywacie.

w Rzeszowie, swojej rezydencji<sup>55</sup>. Tchórz tchórzem, ale terroryzował cały swój powiat, dobierając sobie odpowiednich pomocników, np. *Landkomissar* z Kolbuszowej Twardoń, zwany powszechnie „Miękkim”, to był rzadki okaz draba. Ten renegat (tak twierdzono) potrafił strzelać na oślep do wszystkiego, jeśli się mu coś nie spodobało<sup>56</sup>. Sama byłam świadkiem takiego zdarzenia. Jechał otwartym powozem czy bryczką i wywijał pistoletem. Potem rozległy się strzały. Nie wiem, kogo chciał trafić, pięknego psa czy ludzi. Wyraźnie przy tym miał ruchy nieskoordynowane. I Polacy, i Żydzi bali się go panicznie. Potrafił też, zobaczywszy dorodniejszą dziewczynę czy chłopca, zabrać ich *stante pede*<sup>57</sup> i spowodować wywiezienie do Niemiec. Gdzieś właśnie w okresie wywozu Żydów spotkałam się z nim oko w oko przy wejściu do ratusza. Wychodziłam z mieszczącej się tam poczty z listem od Ojca. Przyglądnał mi się bacznie, zrobił ruch, jakby chciał mnie zatrzymać. Uratował mnie jednoczesny ukłon mój i pana Wagnera, i jego uprzejme pozdrowienie, a także dość demonstracyjnie trzymany list z Oflagu. Słyszałam, że o coś pytał na mój temat pana Wagnera, a on mu objaśniał. Doleciały mnie tylko pojedyncze słowa: *Tochter, arbeitet...*<sup>58</sup>

Podawana liczba zabitych przez niego Żydów była tak duża, że wydawała się – wówczas – wręcz niewiarygodna. Dziś skłonna jestem we wszystko wierzyć. Nie wiem natomiast, jak traktować ustalenia co do ilości Żydów zamordowanych w Borze. Natychmiast po zamordowaniu mówiono o 60 000 zabitych i ta liczba utrzymywała się uparcie przez

<sup>55</sup> Józef Liwo (1885-1939) zginął na początku II wojny światowej. Należący do niego dworek w Rzeszowie przy ul. Dąbrowskiego 18, ze względu na bliskie położenie od zamku rzeszowskiego, został zajęty przez Ehausą na mieszkanie.

<sup>56</sup> Walter Twardoń był prawdopodobnie z pochodzenia Ślązakiem.

<sup>57</sup> Z łac. „tak jak stoją”, „z marszu”.

<sup>58</sup> Z niem. „córka, praca”.

cały czas mojego pobytu w Głogowie, to jest do końca września 1945 r.<sup>59</sup> Wobec niekompletności danych, choćby w sprawach osób zabitych za przechowywanie Żydów dotyczących Głogowa, jestem skłonna przypuścić, że dane publikowane później są znacznie pomniejszone. W różnych publikacjach są one różne, obracają się w granicach 10 000-15 000 zmarłych<sup>60</sup>. Moi znajomi związani z lasem podawali ilość grobów i ich wielkość, oceniając, ile w każdym mogło być ciał. Także one mogły być znacznie wyższe. Pytanie też zachodzi, czy dotarło do wszystkich mogił. O ile nie mogę sobie przypomnieć, żeby Niemcy bezpośrednio po tej zbrodni zamknęli las, o tyle później, w latach 1943-1944, wstęp do lasu był wzbroniony, bo były tam jakieś roboty na wielką skalę. Przyjeżdżali do Głogowa Niemcy z szefostwa tych robót, m.in. Grudziński – renegat z Poznańskiego, młody, przystojny człowiek z wielkim owczarkiem niemieckim. Ściśle biorąc, był to jakiś okres w 1943 r., potem pauza i zamknięcie do końca, tj. do lipca 1944 r., gdy tereny te zajęła Armia Czerwona.

---

<sup>59</sup> Mord tak przedstawił Jan Czach, członek Baudienstu: „Po przyjeździe każdego samochodu Niemcy kazali Żydom rozebrać się i wchodzić po dziesięć osób na stopień ziemny, który był przez nas zrobiony w grobach. Owych 10 Żydów stawało na tym stopniu tyłem do brzegu, nad nimi ustawiało się 10 Niemców z karabinami w bezpośredniej bliskości i na komendę wydawaną przez jednego z Niemców wszyscy na raz strzelali Żydom w tył głowy. Żydzi wpadali do grobu (...). Po rozstrzelaniu każdego dziesięciu Żydów jeden z Niemców dobijał żyjących jeszcze Żydów z rewolweru” (J. Czach, cyt. za: E. Rączy, *Zagłada Żydów w dystrykcie krakowskim*, Rzeszów 2014, s. 297). W Borze są dwie masowe mogiły powstałe w wyniku wykopania rowów, nad którymi dokonywano egzekucji. Żydów z rzeszowskiego getta zwożono ciężarówkami. Oszacowano, że w mogiłach pochowano 5000 ofiar.

<sup>60</sup> W obozie na Majdanku w ciągu jednego dnia, 3 listopada 1943 r. (św. Huberta) określonego jako *Erntefest* – „dożynki”, zamordowano ok. 17 000 osób. Liczba 5000 ofiar z Boru wydaje się bardzo skąpa, zważywszy, że egzekucje trwały znacznie dłużej (przypis Autorki).



Il. 7. Rodzeństwo Leszek i Teresa oraz ich matka Helena Mastalska na podgłogowskiej łące w czasie II wojny światowej. Ich bez troskie miny nie pozwalają się domyślać jak wiele przeszli podczas wojny

Na miejscu zagłady stoi pomnik dobrze widoczny z szosy. Architektonicznie i artystycznie niczym specjalnie się – moim zdaniem – nie wyróżniają. Groby ciągną się w głąb lasu, który teraz po tylu latach odzyskał trochę z wieku, ale nic z dawnej urody<sup>61</sup>.

<sup>61</sup> Autorka pisze o pomniku oznaczającym miejsce martyrologii, stojącym tuż przy drodze krajowej nr 9 w pobliżu parkingu leśnego. W czerw-

Drzewa, mimo iż wyrosły na ziemi użyźnionej krwią zamordowanych, wyglądają jak chore i są bardzo smutne, jakby płakały nad ludem Izraela.

---

cu 1995 r. w pobliżu mogił znajdujących się głębiej w lesie zbudowano właściwy pomnik ofiar zagłady.